T. 4 z. 3

Od Redakcyi.

Zamykając rocznik pierwszy wydawnictwa **„Litwy i Rusi“** myślą w przyszłość wybiegamy.

Mimo ciężkich niezmiernie warunków, trudności, które co dnia pokonywać trzeba, **„Litwa i Ruś“ nadal wychodzić będzie.**

Zadanie nasze i program dają się streścić w tych słowach:

służymy kulturze polskiej na kresach wschodnich.

Pod tym hasłem rozpoczęliśmy pracę naszą, na tym posterunku pragniemy wytrwać.

Przeszłość nasza, polska przeszłość w tym kraju opierała się nie na ostrzu miecza, nie na sile liczebnej, nie na zasobach materjalnych — ona się gruntowała przedewszystkiem na wyższości kultury naszej polskiej, która była zawsze prawą córą wszechpotężnej i jedynej kultury łacińskiej.

A żeśmy kultury tej na wschodzie byli jedynymi apostołami, w nasze ręce złożono miecz i berło, a liczba tu nasza rosła z dniem każdym, albowiem zaszczytne było miano — Polaka.

Gdy miecz nam z rąk zdrętwiałych wypadł, gdyśmy, złożywszy mienie nasze na ołtarzach ojczyzny, materjalnie podupadli, a ci zaś, których za braci uważaliśmy, po trzykroć nas się wyparli — pozostała nam śród ogólnego potopu jedna ostoja: nasza tu polska kultura. Dopóki wiernie trwać będziemy w służbie tej Pani — pozostaniemy tem, czem byliśmy zawsze, w dobrej i złej doli: narodem jednolitym, świadomym swej odrębności rasowej, swych celów i zadań, swego „wczoraj“ i swego „jutra“.

Gdy wyrzekniemy się kultury naszej — skończona nasza tu rola i myśmy tu niepotrzebni, rozpłyniemy się, lub pierwszy podmuch nas zmiecie, jako te plewy z których wyłuszczono ziarno.

Gmach kultury naszej na twardej zbudowany opoce; jej fundamentem: **wiara katolicka i tradycja.** Na tej podstawie i my pragniemy budować.

Rozumny **konserwatyzm** nie jest ani cofaniem się wstecz, ani zastojem, rozumny konserwatyzm poucza nas tylko, że przeszłości cofnąć ne można, więc trzeba się z nią liczyć. Kiedy będziecie wznosić górne piętro gmachu, baczcie, aby z dolnymi harmonizowało, inaczej będzie — pośmiewiskiem. Wyprowadzajcie ścianę prostopadle, aby się też mocno opierała na podmurowaniu, inaczej runie; głupcy tylko budują bez podstaw — w powietrzu. Przeto, nim przystąpicie do pracy, zejdźcie w głąb mrocznych podziemi, weźcie z sobą pochodnię wiedzy, zapalcie ją iskrą uczucia, a gdy z podziwem ujrzycie potężne sklepienia, szereg niezachwianych filarów, przyznacie, że mądrzy to byli budowniczowie i przewidujący, wtedy wielka otucha wypełni serca wasze, a wróciwszy na światło dzienne, raźnie staniecie do pracy, pewni, że tego gmachu burza nie obali, ni powódź zmyje.

Tedy w myśl tak pojętego konserwatyzmu, za pierwszy, elementarny obowiązek nasz uważamy **poznać przeszłość naszą,** jej świetne zabytki, wielkie cnoty, niepomijając błędów — bez fałszywego wstydu, ale też bez owego histerycznego samobiczownictwa i samooplwania, które są oznaką zwyrodnienia. A wszystko ku nauce i ku pokrzepieniu serc.

Atoli nie chcemy, aby pismo nasze było li tylko pomnikiem grobowym przeszłości. Niechaj umarli swych umarłych grzebią. Dla nas historja jest przedewszystkiem mistrzynią życia. Ani sztuki dla sztuki, ani też nauki dla nauki nie rozumiemy, wszystko tylko dla życia, dla jego wielkich potrzeb i większych celów, dla jaśniejszego jutra.

Uważając badania nad przeszłością za podstawę i pierwszy punkt programu naszego, nie możemy jednak na tem poprzestać, przeciwnie, zamierzamy w roku przyszłym większą, niż dotychczas, uwagę poświęcić **bieżącym objawom kulturalnym.** Jakkolwiek twórcza praca kulturalna polska na Litwie i Rusi ogromnie jest krępowana, znajduje przecie sobie ujście. Zaznajamiać ogół czytelników z owocami tej pracy z jednej strony, z drugiej strony torować

jej nowe drogi, szersze wskazywać horyzonta, winno być w przyszłości zadaniem naszem.

Sztuka jest niezbędną częścią każdej wyższej kultury. Jej wpływ uszlachetniający i podnoszący ducha, jest zbawienny, o ile to sztuka prawdziwa, poczęta z miłości Boga, kraju ojczystego i współbraci. W wyjątkowych warunkach, w jakich zmuszeni jesteśmy żyć i działać, pole sztuki stosunkowo najbardziej jest produkcyjnem. Zadanie nasze widzimy nietylko w dostarczaniu najpiękniejszych wzorów z przeszłości, lecz także w zaznajamianiu społeczeństwa ze współczesną produkcją artystyczną. W tym celu przygotowaliśmy szereg krótkich **monografij** naszych żyjących, miejscowych artystów: malarzy, rzeźbiarzy i architektów. Objaśnione wyborem najcelniejszych ilustracji, powinne one odzwierciadlić stan obecny sztuki naszej w tych kraju dzielnicach, a zestawione z produkcją artystyczną lat i wieków minionych, wykażą, o ile owocną jest praca nasza w tej dziedzinie twórczości, a kierunek właściwy.

Wielkie i niewyzyskane jest pole **ludoznawstwa,** w naszym kraju, z jego mieszaną ludnością, szczególnie ciekawe. Na tem miejscu pragniemy w paru słowach zaznaczyć stosunek nasz do narodowości wspólnie z nami od wieków kraj ten zamieszkujących. Krańcowo przeciwni hasłom kosmopolityzmu, zwłaszcza zaś naszego domorosłego, który gotów uznać wszystkie nacje aż do Hottentotów, z wyjątkiem jednej, jedynej polskiej — z dumą za Polaków się uważamy, nie „wszech“-Polaków, ani „pół“, nie „krajowych“, ani „miejscowych“, jeno tylko za **Polaków;** w tem jednem słowie pragniemy widzieć program nasz i nasze credo. Opierając byt nasz dzisiejszy i naszą przyszłość na fundamencie **narodowym,** rozumiemy przecie, że jest nacjonalizm i... „nacjonalizm“, są nacjonaliści i... „nacjonaliści“. Zasadę negowania wszystkich narodowości na korzyść jednej tylko, uważamy za wręcz przeciwną rozumnie pojętemu nacjonalizmowi. Uznając jedną tylko kulturę zachodnią, rozumiemy, że każdy naród, nie wyłączając najmłodszych, na swój sposób, stosownie do właściwości swego charakteru, języka, kulturę tę przetwarza. Żeby na kuli ziemskiej jedna zapanowała narodowość, jeden język — świat ten stałby się niezmiernie monotonnym i nudnym, a kultura by zubożała, w braku zdrowego współzawodnictwa. Najbogatsza jest ta orkiestra, która największą ilość instrumentów posiada, najpiękniejszy ten obraz, który najwięcej ma

barw i odcieni, byle wszystkie te barwy i tony w jedną, harmonijną zlewały się całość, posłuszne wyższej, kierującej myśli.

Zmuszeni bronić naszej odrębności rasowej przed zaborczym instynktem współziomków naszych, czy to Letonów, czy Białorusinów, ze szczerą radością witamy każdy z ich strony objaw pracy kulturalnej, żałując jedynie, że wobec panujących warunków politycznych, jako też wobec wzajemnej, niestety, nieufności, nietylko inicjatywy powziąść, ale nawet skutecznie pomagać nie jesteśmy w stanie. Tem bardziej jednak niezbędnem jest dla nas śledzić uważnie a przychylnie za kulturalnym rozwojem narodów pobratymczych, z woli przeznaczenia jeden z nami zamieszkujących kraj. Tylko tam, gdzie jest z r o z u m i e n i e, przyjść może z czasem i p o r o z u m i e n i e s i ę.

Przedewszystkiem interesuje nas praca u podstaw, tam, gdzie się kończy sztuczny szowinizm, rozpoczyna szeroka, samobytna dusza ludu w jej wielorakich objawach. Właściwości e t n o g r a f i c z n e ludu, zwłaszcza zaś twórczość jego, czy to w dziedzinie p r z e m y s ł u a r t y s t y c z n e g o, czy też p o e z j i i m u z y k i l u d o w e j winne znaleść na stronicach wydawnictwa naszego żywy oddźwięk, w ilustracjach naszych — odtworzenie.

Zakreśliwszy sobie tak szeroki program, z drugiej strony ograniczamy go — terytorjalnie, poświęcając wydawnictwo nasze wszelkim sprawom kulturalnym w obrębie historycznej Litwy i Rusi. Z całą stanowczością jednak, nie po raz pierwszy, zaznaczyć winniśmy, że nie myślimy uprawiać żadnego separatyzmu, skłoniły nas do takiego ograniczenia zakresu wydawnictwa dwa względy: pierwszy całkiem praktyczny — ponieważ pisma warszawskie, czy też krakowskie za mało uwagi i miejsca poświęcają naszym sprawom.

Drugi wzgląd zasadniczy: Uznając najzupełniej jednolitość naszą rasową i kulturalną, nie możemy się pogodzić ze zbyt daleko posuniętą centralizacją. Obok bowiem rasy i kultury jest jeden jeszcze czynnik, wywierający potężny wpływ na ukształtowanie się duszy narodu — tym czynnikiem jest ziemia. Nigdzie między ziemią rodzicielką a jej dziećmi spójnia nie była tak silna, jak w naszym narodzie, przeważnie rolniczym. Przywiązanie do zagrody ojcowskiej, wytwarzające pewien patrjotyzm parafjalny, nie przeszkadza podporządkowywać go idei ogólnej, gdyż w jedności i sile ogółu najpewniejsza gwarancja dla każdego z osobna.

Z drugiej atoli strony właściwości lokalne: gleby, klimatu, warunki życia, sąsiedztwo nareszcie — kładną niezatarte piętno na mieszkańcach różnych kraju dzielnic. Podobny objaw nie jest rzeczą niezwykłą także na zachodzie; weźmijmy np. Francję: jakże bardzo różni się charakterem, obyczajem, strojem, ba! nawet językiem Bretończyk od Alzatczyka, ten zaś znowu od mieszkańca prowincji południowej. To samo widzimy w Niemczech, gdzie różnice lokalne dobitniej jeszcze się zaznaczają.

Nie inaczej działo się i dzieje u nas. Te zaś cechy miejscowe, które charakteryzują nas, mieszkańców wschodnich kresów, odróżniając od Mazurów, Wielko- i Mało-Polan,—to nie zdrożny separatyzm, to święte dziedzictwo po przodkach naszych, które winniśmy zachować, które wyraz swój musi znaleźć w życiu naszem, w naszej twórczości.

Ojcowie nasi, czy to idąc ramię przy ramieniu w bój krwawy, w obronie najświętszych skarbów narodowych, czy to na spólnych sejmach spólnie radząc nad spólnem dobrem Rzeczypospolitej, jakkolwiek szczerymi czuli się Polakami, przecie nazywali siebie Litwinami, tem samem zaznaczając nie rasową odrębność, lecz podkreślając wiekową spójnię ze swą ściślejszą ojczyzną, i z tą ziemią, którą krwią i potem użyźnili z dziada, pradziada.

I my też, wierni tej tradycji, wbrew nowszym zwyczajom i prądom, z którejkolwiek wiałyby strony, wypisujemy na karcie tytułowej: „L i t w a i R u ś“, pod tym hasłem pragniemy stać, pracować i służyć naszej odwiecznej, polskiej kulturze w tym kraju.

Morowe powietrze na Litwie.

Notatka historyczna.

Morowe powietrze, albo dżuma, ta najstraszniejsza z plag rodzaju ludzkiego, minionych wieków, znane jest od bardzo dawna. Wiadomo, że na 300 lat przed N. Chr. grasowała ona w Egipcie. Wspominają o niej Cicero [1]) i Plinius [2]). Znał ją również i Hipokrates.

Trzeba jednak zaznaczyć, że dawni pisarze pod nazwą pestis, pestilentia, opisywali nie tylko dżumę, lecz i inne choroby nagminne, odznaczające się znaczną śmiertelnością, jak np. tyfus plamisty, ospę, i dlatego dziś trudno określić, czy opisana przez kronikarzy epidemja była istotnie powietrzem morowem.

W Europie dżuma po raz pierwszy zdaje się zjawiła w r. 165 po N. Chr. Umarł wtedy cesarz Marek Aureljusz i zginęło prawie całe wojsko. Najdłuższa i najsilniejsza w pierwszych wiekach naszej ery była epidemja dżumy, czyli wrzód morowy za czasów Justynjana. Przedostawszy się z Egiptu, obeszła ona całą niemal Europę i, czyniąc straszne spustoszenia, panowała 50 lat.

Od tego czasu nie upływało stulecia, aby ten straszny gość nie odwiedzał krajów Europy. Do najgroźniejszych epidemji należy morowe powietrze, które się zjawiło w XIV w. i jest znane pod nazwą czarnej śmierci. Szczegółowe jej opisy pozostawili Boccacio (Decameron) i nieśmiertelny Petrarka, któremu ta strasz-

---

1) Cicero. De natura deorum. I. 36.
2) Plinius. Histor. natur. XXI. 4.

na choroba zabrała ukochaną Laurę. Jakie spustoszenia czyniła wtedy czarna śmierć, można wnosić stąd, że w wielu miejscach umierało dziennie 10—15 tysięcy ludzi, a bogate i kwitnące miasta prędko się wyludniały. W Wenecji umarło 100 tysięcy, we Florencji 96 tysięcy, w Neapolu 60 tysięcy. To samo się działo w Hiszpanji, Francji i Anglji. W Niemczech 200 tysięcy wiosek i osad pozostało bez mieszkańców. Na morzu śródziemnem spotykano błąkające się statki bez załogi i one to prawdopodobnie dały początek legendzie o „Holendrze"—postrachu marynarzy. Haeser [3]) oblicza, że „czarna śmierć" zebrała w Europie bogate żniwo, bo 25 miljonów osób padło jej ofiarą.

W wiekach następnych dżuma często nawiedzała różne kraje Europy. Szczególnie groźne były epidemje w Rosji, skąd nieraz zawlekano chorobę do Polski i Litwy. Tak w r. 1386 w Smoleńsku jakoby zostało przy życiu tylko dziesięć osób, zaś w r. 1467 zmarło w Nowogrodzie 230 tysięcy, w Moskwie w r. 1606 — 127 tysięcy i w r. 1771 — 1772 padło ofiarą epidemji 56 tysięcy ludzi [4]).

W XIX wieku morowe powietrze ukazywało się tylko do 1841 r. i można było mniemać, iż straszna ta choroba nazawsze opuściła kulę ziemską. Ale po niejakim czasie zaczęła ona pokazywać się w Azji, skąd w r. 1878 przeszła na wschód Rosji (Wietlanka), a w r. 1897 poczyniła straszne spustoszenia w Indjach wschodnich. Odtąd widmo dżumy wciąż stoi u granic Europejskich i zdaje się tylko czekać odpowiedniej chwili, by się przez nie przedrzeć i rozpocząć straszliwe żniwo w Europie. Od czasu do czasu są notowane pojedyncze wypadki dżumy w Astrachaniu, Odesie, Konstantynopolu, oraz na statkach, przybywających do portów morza Śródziemnego, i tylko dzięki niezmiernej czujności i postępom medycyny, choroba zostaje zlokalizowana i niedopuszczana wgłąb lądu.

Czarna śmierć wybierała ofiary wśród wszystkich warstw ludności, począwszy od żebraka i kończąc na głowach koronowanych. Na dżumę zmarli między innymi: Marek Aureljusz, Alfons XI, Joanna Nawarska (córka Ludwika IX), bodaj że i Ludwik IX w Afryce, Joanna Burgundzka, małżonka Filipa Valois, wielki książę Simeon Gordyj w Smoleńsku, kniaź Jarosław z żoną w Pskowie,

---

[3]) Haeser. Istoria powalnych boleźniej. Petersburg. Cz. I, str 34

[4]) Eiger. Istoria czumy. Petersb. 1897 r.

Bazyli Włodzimierowicz i inni. Umierali również najwyżsi dostojnicy Kościoła i Państwa. Ani wieku, ani płci nie oszczędzała dżuma. Nie dziw tedy, że epidemje siały popłoch i dzikie przerażenie, oraz demoralizowały ludność. Jedni w trwodze śmiertelnej przed straszną klęską szukali pomocy u Boga, przepełniając świątynie i spędzając dnie i noce w modlitwie, a chcąc przebłagać rozgniewanego Stwórcę, zasypywali świątynie ofiarami (Haeser opowiada, że, gdy jeden z klasztorów, w obawie przed zarazą, odmówił przyjmowania ofiar i zamknął bramy, posypały się pieniądze, klejnoty i drogie naczynia przez mury i utworzyły za niemi całe góry bogactw). Inni czynili różne wota i śluby, lub gromadnie wstępowali do klasztorów. Inni znowu w dzikiej rozpaczy, nie widząc znikąd ratunku przed nieuniknioną śmiercią, poświęcali resztę życia nie wyszukanym uciechom i oddawali się szalonej i bezgranicznej rozpuście, trwoniąc w ciągu paru dni olbrzymie fortuny.

Masy oszalałej z rozpaczy i przerażenia ludności szukały przyczyn klęski i znajdowały je, zależnie od epoki, panujących poglądów, zabobonów i stosownie do poziomu swego wykształcenia.

Przyczyn choroby szukano poza granicami kuli ziemskiej lub w jej wnętrzu. Mniemano powszechnie, że morowe powietrze zsyła Bóg, jako karę za grzechy, ostrzegając przedtem za pomocą różnych zjawisk w naturze, jak trzęsienie ziemi, wybuchy wulkanów, komety i słupy ogniste na niebie i t. d. W czasach, gdy kwitła astrologja i nawet na losy jednostek oddziaływały gwiazdy, wierzono, iż dżuma zależała od ujemnych wpływów ciał niebieskich i konstelacji. Stąd jeden krok tylko do tego, aby przypisać klęskę nieczystej sile, czarownicom i innym złym ludziom. W wielu miejscach przed zjawieniem się epidemji widziano żyda, wiecznego tułacza, Ahaswerusa. Następnie zaczęto doszukiwać się przyczyn bardziej realnych. Mniemano, że epidemję wywołują wyziewy ziemi po jej trzęsieniach, gorące powietrze, posucha, burze, mgły, przelot szarańczy i nieurodzaje. Nakoniec zaczęto przypuszczać, że ludzie zarażają się od zatrutej przez złych ludzi wody i obwiniano o to z początku grabarzy, oraz czarownice. Dość było znalezienia jakiej maści lub proszku nieznanego, by być posądzonym i rozszarpanym przez rozwścieczone tłumy. Stosy, na których ginęły ofiary ciemnoty i przesądu, zapłonęły w różnych miejscach zachodniej Europy. W XIV wieku zauważono, że żydzi mniej chorują i nie używają wody studziennej, a tylko źródlanej, lub rzecznej. Niebawem powstało

podejrzenie, które zamieniło się w pewność, że właśnie oni są przyczyną powietrza, ponieważ jakoby przysłano im z Palestyny od arcykapłanów list, znaleziony na Golgocie po ukrzyżowaniu Chrystusa, pełen nienawiści względem chrześcijan. Zaczęło się straszne prześladowanie nieszczęśliwych w całej zachodniej Europie, za wyjątkiem Polski. Tu mądry i wspaniałomyślny Kazimierz Wielki dał żydom nietylko przytułek, ale i prawa. Zgroza ogarnia, gdy się czyta o strasznych rzeziach i pastwieniu, jakie wtedy miały miejsce. W Norymberdze wymordowano 100 tysięcy żydów [5]), a w Moguncji 12 tysięcy tych nieszczęśliwych, aby uniknąć męczarni, dobrowolnie spaliło się we własnych domach [6]).

Na Litwie i Rusi o zatruwanie wody obwiniano tatarów [7]). Dopiero w XVIII wieku część lekarzy zaczęła się domyślać prawdy i szukać przyczyny choroby w lotnych zarazkach, jakkolwiek nie dających się poznać, które unosząc się zarażały powietrze, grunt i wody. Inni jednak namiętnie zwalczali takowe poglądy. Stąd lekarze XVIII wieku podzielili się na dwa obozy: kontagionistów i antikontagionistów.

Dopiero postępy nauki w XIX wieku i szczególnie bakterjologja odkryły, iż przyczyną chorób zakaźnych, a więc i dżumy, są swoiste, niewidzialne gołem okiem, drobnoustroje pochodzenia roślinnego.

Zapobieganie i leczenie dżumy w zupełności zależało od panujących poglądów. Przedewszystkiem mieszkańcy nawiedzonej przez mor miejscowości, uciekali i roznosili zarazę. Chorych pozostawiano na łasce Opatrzności, matki porzucały dzieci, dzieci rodziców, lękając się do nich zbliżyć. Zamykano się w domach i klasztorach. Dla przebłagania zagniewanego Boga, odprawiano uroczyste nabożeństwa i urządzano procesje, które dopomagały w szerzeniu się epidemji. Obnoszono po miastach relikwje i obrazy cudowne, składano ofiary, czyniono śluby, a jednocześnie obwieszano się amuletami. Gdy jednak wszystko to nie pomagało, wypowiedziano walkę nieczystej sile, palono czarownice, torturowano ludzi podejrzanych o stosunki z władcą piekieł, wreszcie mordowa-

---

[5]) Haeser. l. c. str. 125.

[6]) K. A. Schaab. Diplomatische geschichte der Juden zu Mainz. e. t. c. Mainz. 1855 str. 84.

[7]) Jędrzej Śniadecki. Pamiętniki Wileńsk. Towarz. Lekarskiego, 1819 r. T. I.

no żydów. Lekarze jednak i państwa chwytali się innych sposobów walki z dżumą. Oczyszczano powietrze za pomocą ogni zapalanych na ulicach miast i w dziedzińcach domostw. W mieszkaniach kadzono smolistemi środkami i ziołkami, zalecano spokój ducha, wstrzemięźliwość w jedzeniu i napojach i czystość ciała, przez obmywanie wodami aromatycznemi. Wreszcie zaczęto ochraniać miasta i prowincje przed przybyszami z miejscowości objętych przez epidemję. Pierwszą kwarantanę pod nazwą Proveditori di Sanita wprowadziła w r. 1348 Wenecja.

Leczenie polegało na dawaniu chorym najrozmaitszych środków lekarskich ze wszystkich 3 państw przyrody, zaś szarlatani z wielkiem powodzeniem sprzedawali tysiące cudownych leków. O ile te wszystkie środki były skuteczne, świadczy 25 miljonów ofiar powietrza morowego.

Litwa od czasów Gedymina, a nawet już wcześniej, miała ciągłe stosunki z Polską, Rusią, Węgrami i Niemcami. Założenie Wilna, wyniesienie na tron wielkoksiążęcy Witolda, wreszcie unja z Polską, znacznie te stosunki ożywiły. Ze wszech stron zaczęli napływać rzemieślnicy i kupcy. Lecz i nieproszeni goście często nawiedzali Litwę. Z jednej strony Ruś i Tatarzy, z drugiej Krzyżacy bezustannie napadali na Litwę, siejąc pożogę, mord i spustoszenie. Lecz nieśli oni ze sobą coś straszniejszego od miecza i ognia, mianowicie choroby straszliwe, dotąd nieznane Litwinom.

O warunkach sanitarnych w kraju litewskim przed Gedyminem trudno coś powiedzieć, można jednak mniemać, że były one lepsze, niż w wiekach późniejszych. Klimat łagodny, obfitość jezior, rzek i strumieni, grunt przeważnie gliniasto-piaszczysty, nieprzebyte puszcze leśne, nieliczne miasta z małą ilością mieszkańców, rozrzucone na znacznej przestrzeni małe osady, wreszcie ciche i skromne życie i prosty pokarm, nie przedstawiały w owych czasach warunków sprzyjających gwałtownemu szerzeniu się epidemji.

Te pomyślne warunki uległy zmianie ze wzrostem miast, ożywieniem handlu i najazdami sąsiadów, które zmuszały Litwinów skupiać się dla obrony w większe osady [8]), a przez czynione spustoszenia były przyczyną ubóstwa.

---

[8]) Kraszewski. Wilno i t. d. r. 1840. T. I, str. 55.

Miasta, jak np. Wilno, Kowno odznaczały się wązkiemi, nieporządnie zabudowanemi ulicami, przepełnionemi błotem, śmieciem i gnojem, to też nic dziwnego, że warunki zdrowotne miast i większych osad były opłakane, epidemje zaś znajdowały dla siebie grunt podatny.

Nie ulega kwestji, że nie wszystkie epidemje w Polsce i Litwie, opisane przez polskich kronikarzy pod nazwą: mór, morowe powietrze, morowa zaraza, pestis, lues i t. d. byli dżumą i że miano jej nadawano innym chorobom zakaźnym o znacznej śmiertelności.

Z pewnem prawdopodobieństwem można przypuszczać, że głód i morowe powietrze, panujące w Polsce i na Rusi w XIII wieku po raz pierwszy nawiedziły Litwę, która prowadziła wtedy po śmierci Mendoga wojnę z Pskowem [9]), gdzie w tym czasie morowe powietrze czyniło tak straszne spustoszenie, że w jednej mogile grzebano po 7—8 trupów. Według Długosza, głód i powietrze morowe były tak okropne, że matki własne pożerały dzieci, ludzie marli tysiącami, a mieszkańcy tłumnie uciekali do Węgier i na Ruś, gdzie nie tylko nie okazano nieszczęśliwym pomocy, ale ich sprzedawano w niewolę Tatarom.

W r. 1312 jakaś zaraza została zawleczona na Litwę z Torunia; przetrwała ona do XV wieku i wygubiła trzecią część ludności. Nie była to prawdopodobnie dżuma, ponieważ czarna śmierć zjawiła się w Europie dopiero w r. 1348.

Nie posiadamy pewnych wiadomości, czy epidemje XII, XIII i XIV wieków ogarnęły również i Litwę, ale, ponieważ powietrze, jak o tem świadczą nasi kronikarze i latopisowie ruscy, często w tym czasie nawiedzało Polskę, Ruś i Prusy, można przypuszczać, że nie omijało ono i Litwy, która wiodła ciągłe wojny z sąsiadami.

O epidemjach powietrza morowego na Litwie w XV wieku mamy już pewniejsze wiadomości. Ciągłe wojny Witolda i Jagiełły z Krzyżakami, Pskowem, Nowrogrodem, Moskwą pustoszyły Litwę, aż nakoniec w r. 1402 były przyczyną okropnego głodu w Wilnie i w całym kraju, tem bardziej, że Krzyżacy zagarnęli zboże, posłane do Litwy przez Jagiełłę na 20 statkach z dóbr jego w Kujawach [10]). Niedługo potem Tatarzy zanieśli morową zarazę do Wilna, która to zaraza grasowała w ciągu lat dwudziestu i zabrała

---

[9]) Kraszewski. Wilno. T. I. str. 18.
[10]) Kraszewski Ibid. T. I. str. 104.

mnóstwo ofiar. Zmarł wtedy pierwszy metropolita litewski, Grzegorz Cemblak [11]), a król, który w r. 1428 przed dżumą, szerzącą się w Polsce, uciekał ze swoją trzecią żoną, nie mógł wjechać do Wilna, ponieważ i tu grasowała zaraza, to też całą zimę spędził w niedostępnych puszczach.

Nie upłynęło lat 15 gdy znowu w r. 1440 trzy naraz klęski spadły na Litwę: głód, sroga zima i zaraza morowa. Stryjkowski pisze, że głód był tak straszliwy, iż ludzie „z liści y korzenia lada iakiego y lepu iemiołowego chleb działali, a to ochotnie y smaczno iedli, którzy potym lata przyszłego zdychali, bowiem złe korzenie y zioła niezwyczajne ku iedzeniu po onym głodzie i drogości, choroby w ludziach niezliczone uczyniły i dla wielkiego głodu człowiek człowieka zjeść musiał, a matki dzieci jadły [12]).

O wiele straszniejsza epidemja szerzyła się na Litwie za Kazimierza III w r. 1454—1452. Zaczęła się ona wśród wojska polskiego na Ślązku i stąd przeszła na Litwę. Kronikarz tak o niej pisze: „Jadąc Kazimierz III z Sieradza do Litwy do stolicy jej z przyczyny zarazy zbliżyć się nie mógł, ale w okolicach Grodna na łowach przebywał. Tak zaś okrutny mor podówczas Litwę pustoszył, że ludzie chodząc, siedząc, śpiąc lub też iedząc nagle zarażeni padali“. Tak samo w r. 1465 król Kazimierz nie mógł wjechać do Wilna dla grasującej tu zarazy i całą zimę w Kownie przemieszkał.

Na początku XVI w. Tatarzy napadli Litwę i zawlekli tu dżumę, która wiele ofiar zabrała, a Mińsk został zupełnie wyludniony. Niektórzy utrzymują nawet, że Aleksander Jagiellończyk zmarł na dżumę, co nie jest prawdą. Następna epidemja morowego powietrza została przyniesiona w 1552 r. z Inflant, pierwsze przypadki choroby miały miejsce w klasztorze Franciszkanów w Wilnie, lecz zakonnicy utaili je, to też „za niebezpieczeństwo, któremu podawali króla i Radę znajdujących się w Wilnie“, zostali srodze ukarani [13]). Mieszkańcy uciekali z zarażonego miasta i zawlekli niebawem chorobę do Miednik, Trok, Eyszyszek, Żyżmor i innych miasteczek i wsi.

---

[11]) Kraszewski l. c. t. I. str. 113, Bieliński: „Wilno“. Słownik geograficzny. Warsz. 1894 str. 505.

[12]) Stryjkowski. Kronika polska, litewska i t. d. Wydanie warszawskie r. 1846. T. II, ks. XVII, str. 204.

[13]) Kraszewski l. c. T. I, str. 256.

Największa epidemja w XVI w. szerzyła się na Litwie w r. 1570 i była poprzedzona przez głód tak okropny, że, jak powiada Stryjkowski, „ludzie prości ścierwy zdechłych bydląt y psów, naostatek umarłych ludzi, trupów wygrzebując iedli, potem niezmierny mor nastał“ [14]). W samem Wilnie umarło wtedy 25 tysięcy osób. Z miasta ratowano się ucieczką i w ten sposób roznoszono zarazę po całym kraju. Opuścili Wilno i przerażeni zakonnicy, zostawiając w każdym klasztorze po jednym dla pilnowania. Jednak Rektor Jezuitów ks. Stan. Warszewiecki wspólnie z 11 księżmi pozostali w zarażonem mieście i nieśli pomoc i pociechę zrozpaczonej ludności. Epidemja ta według Stryjkowskiego trwała jeszcze w r. 1572—73.

W wieku XVII powietrze morowe kilkakrotnie nawiedzało Wilno i Litwę i czyniąc mniejsze, lub większe spustoszenie, trwało po lat kilka. Straszną była epidemja 1657 r. Przerażeni mieszkańcy Wilna tłumnie opuszczali miasto. Zostawiono tylko zarząd miasta i 30 stróżów do pilnowania domów i sklepów. Mor był tak straszliwy, że, jak świadczą kronikarze, wymarła wtedy połowa mieszkańców Wilna. W niedawno założonym klasztorze karmelitów Bosych przy Ostrej Bramie, wymarli wszyscy zakonnicy. Pozostał tylko jeden. Ten, sam już chory, przywlókł się do domu professów przy kościele św. Kazimierza i złożywszy w ręce Jezuitów, klucze od swego klasztoru i kościoła, padł trupem.

Najgwałtowniejszą atoli była ostatnia epidemja dżumy na Litwie w r. 1710. Epidemja do takiego stopnia zdziesiątkowała ludność kraju, że zabrakło ludzi do żniwa. Dżumę poprzedzał okropny głód, jakiego nie pamiętano na Litwie. W samem Wilnie zmarło przeszło 30 tysięcy chrześcijan i 3700 żydów. Z powodu strasznego głodu lud wiejski rzucił się do Wilna i napełniając ulice rozpaczliwie wołał chleba, a nie było go czem nakarmić, to też umierali ludzie tysiącami i stosy trupów zawalały ulice, rynki i dziedzińce. Bracia Miłosierni, albo Rochici, którzy zajmowali się pogrzebami, nie mogli zdążyć grzebać wszystkich zmarłych, to też zakopywano po 70—80 trupów w jednym dole za miastem. Samych tylko Jezuitów, którzy nieśli pomoc chorym, zginęło 118.

Straszny obraz przedstawiało Wilno, przepełnione tłumami ludzi, wyjących z głodu i w okropnych mękach konających na uli-

---

[14]) Stryjkowski l. c. T. II, ks. XXV, str. 419.

cach. Naoczny świadek Załuski [15]) tak opisuje tę klęskę:... „U nas nędza jakiej ani widzieć ani czytać o podobnej w historyi nie zdarzyło się. W miesiącu lipcu jeden Rochita z towarzyszem podjął się grzebać zmarłych i już od lipca (1709 r.) do Wielkiej Soboty (1910) włącznie zapisał pogrzebionych 22862. Przeszłej nocy 30 takich nędzarzy, co leżą po ulicach pod domami i kościołami, znaleziono martwych... kiedy konia zdechłego znajdą, albo kiedy gdzie padnie, tłumnie się zbiegają, rozrywają go, chwytają i pożerają. Psy, koty, gdzie znajdą za przysmak chwytają. Niektórzy biegną po wsiach, zapalają obory i przywiązane bydło opalone tak pożerają. O siedm mil od Wilna mąż z żoną zabili naprzód najmniejszego syna, potem drugiego siedmioletniego prawie, ugotowali i pożarli. Inni trupy jedzą, a to nietylko w Wilnie się dzieje, ale i około Nowogródka i Dünaburga". Epidemja i głód spustoszyły Wilno do tego stopnia, że w wielu kamienicach nie pozostało ani żywej duszy. Takich domów obawiano się i przez lat 40 stały one pustkami. O rozmiarach spustoszenia można wnosić również z tego, że w całej djecezji wileńskiej pozostało przy życiu tylko 8 księży. W Wilnie zmarłych grzebano za miastem, najwięcej na Pohulance, koło drogi do Zakretu. Jako pamiątka tej klęski pozostał obraz, umieszczony na zewnętrznej ścianie kościoła św. Piotra na Antokolu. Na tym obrazie widać umierających, lub zmarłych ludzi, a psy ogryzają ich ciała i kości [16]).

Była to już ostatnia epidemja powietrza morowego na Litwie. Czytając opisy epidemji w ubiegłych wiekach, trudno zrozumieć, jak mogły one szerzyć się z taką niesłychaną gwałtownością i zabierać tyle ofiar. Nie będziemy się jednak temu dziwili, gdy przypomniemy, że w owych czasach medycyna stała na bardzo niskim poziomie, zaś o hygjenie wcale pojęcia nie miano. Nie rozumiano również istoty chorób zakaźnych i na epidemje patrzono, jako na karę zsyłaną za grzechy przez zagniewanego Boga. Potem w zachodniej Europie zaczęto obwiniać Żydów, a na Litwie Tatarów, że zatruwają studnie. Sposoby walki z klęską były zależne od panujących poglądów na choroby zakaźne. Przedewszystkiem zwracano się z modłami do Boga o odwróceniu klęski. Tłumy ludu od rana do

---

[15]) Cytowany przez Kraszewskiego. Wilno, T. II, str. 86.

[16]) Niestety cenna ta pamiątka wskutek niewybaczalnego niedbalstwa została zniszczona, zastąpiono ją nowem malowidłem.

nocy przepełniały kościoły, co tem bardziej sprzyjało szerzeniu się zarazy. Z tego powodu w Wilnie parę razy zamykano kaplicę św. Kazimierza i nawet katedrę. W celu przebłagania Boga urządzano po miastach uroczyste procesje, w których obnoszono różne relikwje, jak np. w Wilnie relikwje św. Benona i 10 tys. męczenników. Podczas morowego powietrza w r. 1653 biskup wileński Tyszkiewicz sprowadził do Wilna z Włoch kopję obrazu N. Panny Maryi Łaskawej, słynącej tam z własności uśmierzania zarazy. Obraz, po obniesieniu w uroczystej procesji po mieście, umieszczono w ołtarzu w kościele św. Piotra na Antokolu, gdzie dotąd się znajduje.

Gdy to wszystko nie pomagało, ludzie oddawali swe mienie do kościołów i klasztorów, zaś sami czynili rozmaite śluby, umartwiali się, biczowali, nosili włosienice i t. d.

Za Zygmunta Augusta, około połowy XVI w. po raz pierwszy wydano „Instrukcję w czasie powietrza". Każdy z mieszkańców powinien był sporządzić testament. Zamykano wszystkie bramy miejskie, które nabijano gwoździami i nikogo podejrzanego do miasta nie wpuszczano. Sprowadzono do miasta z tak zw. „Cugu Żupreńskiego" (źródła misjonarskie) wodę rurami do miasta, urządzono łaźnie dla mieszczan i Żydów.

Ludzie miłosierni starali się nieść pomoc przerażonej ludności, szczególnie poświęcali się Jezuici, pocieszając, spowiadając i oddając najrozmaitsze posługi chorym. To też wielu z nich padło ofiarą poświęcenia. Powstawały rozmaite bractwa, których zadaniem było opiekowanie się chorymi, wdowami, sierotami, karmienie głodnych. W czasie epidemji 1624 r. utworzyło się w Wilnie bractwo św. Nikodema, którego członkowie nieśli pomoc chorym i grzebali zmarłych. Do bractwa wstępowali ludzie wszystkich stanów. Niezwykłem poświęceniem odznaczał się ksiądz Petri, który własnemi rękami pogrzebał 300 trupów, aż sam padł ofiarą pełnienia obowiązku.

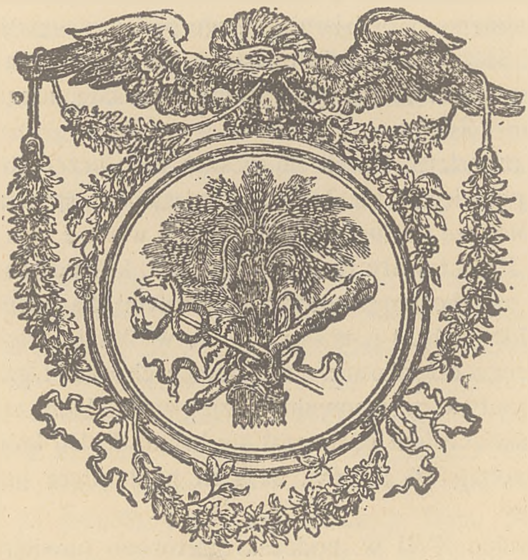
Przy końcu XVII w. podczas morowego powietrza powstaje w Wilnie Stowarzyszenie Braci Miłosiernych, czyli Rochitów, założone przez Jana Jarołowicza, który na podzamczu wybudował szpitalik, zaś w r. 1714 ks. Lutkiewicz wzniósł przy nim mały kościołek św. Rocha.

Rochici z zupełnem zaparciem się i niezwykłem poświęceniem służyli cierpiącej ludności, podejmowali na ulicach zapowietrzonych, przenosili ich do domów i szpitałów, leczyli i pielęgnowali chorych

i grzebali umarłych. To też wszyscy, a w ich liczbie i założyciel Jarołowicz, zginęli śmiercią bohaterską. Jeden z braci, Stanisław Stulpiński, zimową porą ciągnąc na wózku trupy spadł z wózkiem z mostu i ducha wyzionął.

Dzięki postępom medycyny i hygjeny, walka z chorobami zakaźnemi z czasem stała się skuteczniejszą i epidemje już się nie szerzą z tak niesłychaną gwałtownością i nie zabierają dziesiątków tysięcy ofiar, jak to bywało w wiekach ubiegłych.

Dr. Władysław Zahorski.



Od Mendoga do Jagiełły.

(Dokończenie).

VII.

Lennictwo. Książęta i bojarowie. Niewola ludu. Różnorodność zaludnienia. Różnorodność czynszów. Handel. Stosunki wewnętrzne prą Litwę do przyjaźni z Polską.

Jedną z zachodnich instytucji, która już za Olgerda do zupełnego doszła rozkwitu w Litwie i na Rusi litewskiej, jest niezawodnie system lenny, według wzorów zachodnich, z przymieszką wschodnich zwyczajów. Z wyjątkiem Żmudzi, która rządzi się patrjarchalnie, podzielona na powiaty ze swymi królikami, zresztą po całej Litwie widzimy panów lennych i sług lennych rozmaitych stopni, podobnie jak to współcześnie było na zachodzie, a zwłaszcza, jak to widzimy w Inflantach. Sąsiedztwo z Inflantami, pierwsze serdeczniejsze stosunki zawiązane z Rygą i arcybiskupami, dawały sposobność kształcenia społecznego ustroju na wzór sąsiadów. Nawet zewnętrznie przypomina lennictwo litewskie sposób rozdawania len w Inflantach. Tutaj bowiem po śmierci ojca, syn tegoż prosząc o nadanie ojcowskiego lenna, zdejmował płaszcz, pas i mieczyk, rzucał się na kolana przed zwierzchnym panem, t. j. arcybiskupem i z największą pokorą prosił o nadanie lenna osieroconego. Teraz dopiero arcybiskup przez udzielenie pocałunku udzielał lenno proszącemu, poczem tenże składał przysięgę lenniczą, że jako sługa zawsze wiernym swemu panu i posłusznym będzie. Jeżeli sobie przypomnimy owe „czołem bicie", składane książętom na Litwie,

od najdawniejszych czasów używane, to zaiste nie trudno dostrzedz, że i w samym zewnętrznym sposobie składania lenna zachodzi pomiędzy litewskim a inflanckim wielkie podobieństwo. Ale co ważniejsza, te same prawa, jakie przysługują lennodawcy w Inflanciech, przysługują także panom i książętom na Litwie, a więc służba wojenna, spełnianie pewnych powinności na zamku i składanie pewnych czynszów i wreszcie sądownictwo lenne. I podobnie jak w Inflantach arcybiskup, zwierzchniczy pan tameczny pewne prawa zwierzchnicze lenne ustępuje swym wasalom, podobnież na Litwie wielki książę ustępuje je swoim kniaziom i panom, wobec których bojarowie i chłopi w takiż sam wchodzą stosunek lennej zawisłości, w jakim oni względem wielkiego księcia pozostają. Różnica ta jedna, że gdy w Inflantach ci wasalowie większą się cieszą wolnością wobec swego pana, t, j. arcybiskupa i coraz bardziej wolność tę rozumieją — na Litwie wasal pozostaje w stadjum pierwotnej a wielkiej zawisłości od wielkiego księcia, będącego panem życia rodziny, nieruchomości swego lennika.

Weźmy bowiem stosunek licznych książąt do wielkiego księcia. Wśród tych książąt, których cała rzesza jest na Litwie, z których liczby siedmdziesięciu i czterech padło w bitwie pod Worsklą 1399 r., a przecież ubytek nie dał się odczuć w państwie, są krewni najbliżsi, bracia wielkiego księcia. Zdawałoby się, że tak blizkim wielkiemu księciu osobom przysługują większe prawa, aniżeli innym pomniejszym lennikom. Niezawodnie, że tak też w części było i że taki Kiejstut daleko obszerniejszych praw zażywał, aniżeli książę na Ratnie, Pińsku, Starodubie. Atoli z zasady wielki książę rozporządzał osobą, własnością nieruchomą i nawet dziećmi każdego wasala, bez pozwolenia jego nie mógł nawet wasal córki swej wydać za mąż, dawać najmniejszego skrawku ziemi, i każdej chwili mógł go wielki książę przenieść z jednego udziału na drugi, a nawet pozbawić dzielnicy bez jakiegokolwiek przewodu sądowego. On jest źródłem prawa, jakoteż i własności, pierwszem może drugie zawiesić, odebrać, skasować. Pomiędzy książętami są dwie kategorje, jedni (duces seniores) na większych dzielnicach, Trokach, Połocku, Wołyniu i t. d. zasiadają w radzie wielkoksiążęcej, mają więc wpływ na rządy, drudzy (kniazie służebni) na pomniejszych udziałach, przydzieleni tym większym książętom, nie biorą udziału w rządach centralnych, a tylko zasiadają w radzie swoich dzielnicowych książąt, do których juryzdykcji należą, na równi z innymi

bojarami. Wielki książę może powołać pierwszych lub drugich do swej rady, tak, jak powołuje także i bojarów. Prawo dziedzictwa w XIV wieku nie przysługuje ani pierwszym, ani drugim, brat rodzony Jagiełły, Andrzej Połocki książę, po śmierci swego ojca, stara się o potwierdzenie dziedzictwa i uzyskuje je od Jagiełły.

Wśród bojarów musiał być również podział taki, jaki baczymy w pośród kniaziów; byli więc bojarowie więksi, ci sprawowali służbę konną i dawali większą, zapewne już unormowaną, według wielkości posiadanej ziemi ilość służb wojennych, i mniejsi, dający jedną służbę konną lub nawet pieszą. Nietylko, że już w pomnikach historycznych z XV w. spotykamy się z tym podziałem na bojarów konnych i pancernych, ale w całym ustroju inflanckiego lennictwa Rosdienst i Plattendienst, którym to odpowiadają powyżej wzmiankowane służby litewskie, jeszcze w XIII wieku jest przestrzegany. Ponieważ system chorągwiany zdaje się już w drugiej połowie XIV w. był ściśle przestrzegany, możemy się dorozumiewać, jak wielka odpowiedzialność ciężyła na tych, którzy tę chorągiew piastowali, t. j. na większych książętach, również, że ci w obawie o los własny, również bezwzględni byli wobec swych wasalów. Inaczej nie możnaby pojąć tych wielkich powodzeń Litwy na polu wojennem, jak tylko przypuszczając przestrzeganie służby wojennej przez kniaziów, czego dowody mamy jeszcze w późniejszych z XVII w. pochodzących regulaminach służby lennej w księstwach udzielnych, jak np. w Księstwie Słuckiem.

Wielkim ciężarem był obowiązek pomocy przy budowaniu zamków, czyli raczej twierdz, gdyż zamki były po większej części drewniane, ciężący na lennikach. Częste wojny na wschodzie i południu, a ustawiczna prawie wojna, wisząca od Zakonu, zmuszała do budowania ochronnych wałami, fosami, ostrokołem twierdz, gdzie w czasie najazdu ludność z dobytkiem znajdowała schronienie i skąd można się było bronić przeciwko najezdnikowi. Na wasalach ciężył obowiązek dopomagania swym ludem i zaprzęgiem przy budowie, a że twierdze powstawały bardzo licznie i że budowę wykonywano zazwyczaj w ciągu kilku tygodni, jasnem jest, że obowiązki były częstokroć ciężarem. Wasal, który nie miał własności, a był tylko dożywotnikiem i każdej chwili mógł być rugowany z ziemi przez lennego zwierzchnika, nie mający nawet prawa rozporządzalności swą rodziną, gdyż i wydawanie córek za mąż zależnem było od pana lennego, wasal, który ustawiczną prawie odbywał służ-

bę wojenną, zwłaszcza w Litwie właściwej i na Żmudzi, miał nadto obowiązki dopomagania panu lennemu tak liczne i różnorodne, że istotnie w stosunku do zachodnich wasalów lub wreszcie w porównaniu nawet z lennikami inflanckimi, ktrych stosunki lenne służyły za wzór Litwie, bijący czołem lennik litewski był niewolnikiem.

Jeżeli zaś tak kniaziowie więksi i mniejsi, jakoteż i bojarowie byli wobec władzy zwierzchniczej prawdziwymi niewolnikami, to zaiste stosunki klas niższych pogrążone były niemal w zupełnem niewolnictwie. Nietylko bowiem cały ciężar wypełniania robót, prac, pojazdów, dostarczania na zamki opału, bydła, zboża i t. d. ciężył na ludzie, a raczej oni spełniali te obowiązki, ciążące na swych panach, na których to ostatnich odpowiedzialność za wszystko ciężyła, ale co większa ogromna większość ludu składała się z prawdziwych niewolników. I nie mogło być inaczej, skoro wojna była ustawiczną, skoro łup wojenny i jeniec stanowiły częstokroć jedyny cel wojny, niewola musiała w końcu zapanować nad ludem i to w taki sposób, że istniały targi niewolników, cena niewolników, można się było samemu zaprzedać w niewolę, albo też książę nakazywał wprost za karę zaprzedać bojara w niewolę, czy to za nieposłuszeństwo, z własnej tegoż winy popełnione lub dla niemożności spełnienia pewnych poruczeń. I podobnie, jak bojarstwo dzieliło się na większe i mniejsze, ci zaś ostatni na rozmaite kategorje wedle charakteru służby spełnianej względem lennego pana (używano jednych do wysyłek listowych i poselstw, drugich przy zamku, jako dowódców, innych jako urzędników, innych jako urzędników przy księciu i t. d.), tak samo dzielił się lud na kategorje wedle charakteru zajęć i prac spełnianych. Oprócz rolników i pasterzy chowem bydła się zajmujących, byli tedy bartnicy, rybacy, łowcy i t. d. Każdy z nich posługuje się i wyręcza przy pracy niewolnikami, szczególniej przy pracy rolnej, w ogólności najcięższej. Pierwsi mają pewne wolności, i tak przysługuje im prawo opuszczania swej roli i zagrody po spełnieniu powinności przepisanych, podczas, gdy drudzy bardzo ograniczonych praw używają. Prawa pierwszych są tak ograniczone, że w braku prawa pisanego, korzystanie z praw wolnego przesiedlania się z pod jednego pana do drugiego, jest utrudnione, na skutek czego oni tworzą warstwę stałą ludności; drudzy nabywani lub sprzedawani, według potrzeby właścicieli, stanowią napływową warstwę, zmienną, lecz daleko od pierwszych

liczniejszą, a częstokroć bardzo ludną, nadającą całym okolicom odrębny charakter niemiecki, mazowiecki lub polski, skoro w większej liczbie w której z okolic byli osiedleni. Szczególniej na Rusi litewskiej zakupowano niewolników całymi secinami, czem się Litwa bardzo bogaciła za Gedymina — łatwo przeto zrozumieć, że całe powiaty miały charakter obcy, jak np. polski, czem się tłumaczy i to żądanie Gedymina do saskich klasztorów, aby mu do Litwy przysłano zakonników, znających także język litewski lub polski.

Charakterystycznym znamieniem stosunków lennictwa litewskiego jest różnorodność danin, czynszów, opłat, i to wszystkich w ogólności stanów. Na zachodzie w Europie więksi wasalowie nietylko że nie opłacali czynszów, ale co bardziej, otrzymywali od swych panów lennych zasiłki pieniężne, roczne płace, czynsze wieczyste i t. p., tutaj nawet najwięksi wasalowie płacą p o l e t n i e, t. j. roczną opłatę do skarbu wielko-książęcego, a skoro w. książę przybędzie do ich ziemi, składają na potrzeby dworu naturalia, żywią księcia i jego wielką drużynę, nie mówiąc już o tem, że ofiarowują dary przy przyjęciu i na odjezdnem, jak konie, sokoły, drogocenne szaty, futra i t. p. Otóż tak samo różnorodnymi są opłaty ciężące na chłopach wobec panów, składane przeważnie w naturaliach, chociaż już i pieniądz jak serebszczyzna, tatarszczyzna jest w użyciu jako opłata. Płaty, popłaty, pobory, poszliny, podaczki pośmiertne, oto rozmaite nazwy danin, a bobrowa, hroszowa, kuniczna, miodowa, oto rozmaite nazwy danin, zaś podymne, wymiełki, wołowszczyzna, owsiane i t. d. oto nazwy specjalne rozmaitych czynszów składanych w naturze przeważnie przez włościan, nie licząc rozmaitych datków przy wstąpieniu lub wystąpieniu z roli, co ostatnie zresztą rzadziej się zdarzało, przy wyprawie pana na wojnę.

Stosunki takie sprzyjały rozwinięciu się organizacji wojennej, o której zresztą mało wiemy, lecz która zapewnie już osiągnęła pewnego stopnia doskonałości, skoro nietylko że obrona kraju po całej Litwie była dość staranną, czego dowodem imiona kilkudziesięciu zamków litewskich już z końca XIV w., ale nadto i liczba chorągwi i bitności zwłaszcza Litwinów w podziwienie wprawiała rycerstwo zachodnie. Sama Żmudź postawić mogła w ogólności do ośmiu tysięcy konnego żołnierza, liczba na owe czasy bardzo znaczna; Litwa właściwa Aukstecja pewno dwukrotną liczbę tego wojska postawić mogła. Chorągwie, w stosunku do zachodnich, były mało kryte, do 100 kopij liczące, a i uzbrojenie w stosunku do zachodniego pozo-

stawiało wiele do życzenia, jakkolwiek i tutaj wspomnieć należy, że zachodnie zbroje nie były wcale rzadkością, lubo jak wiadomo handel zbroją, t. j. dostarczanie zbroi Litwie, było na zachodzie jak w Prusiech ustawami zabronione. Że wszystkie ulepszenia wojenne na zachodzie, budowa machin oblężniczych, broń lepsza, były w Litwie znane, tego dowodem są opisy współczesnych rocznikarzy o oblężeniach twierdz krzyżackich przez Litwę. Nawet sztukę inżynierską posiadali oni w dość wysokim stopniu i nie Rusini byli tutaj mistrzami Litwinów, jak się mylnie dorozumiewano [118]), lecz właśnie Litwini byli mistrzami Rusinów w tej mierze, a taki Radike, inżynier za Witolda, jest osobistością, o której w międzynarodowych stosunkach wiele jest mowy i on to niezawodnie budował owe nadniemieckie zamki, których resztki i dziś jeszcze wzbudzają u współczesnych podziw. Zapewne, że od owych zasieków (hegenen), budowanych na Żmudzi, nie trzeba było inżynierskiej sztuki, ale i one świadczą o pewnej znajomości zasad obrony u ludu żmudzkiego, a pewnie i owe zamki drewniane, stawiane za Olgerda, były dziełem rąk litewskich budowniczych, i tylko do budowy murowanych zamków używano obcych, niemieckich mistrzów. W ogólności mówiąc, naród cały litewski, na skutek ustawicznych wojen z sąsiadami i zawojowania Rusi, miał organizację wojenną na systemie lennym opartą dość wykształconą i zadość czyniącą wszystkim potrzebom państwa. Że nie była to organizacja wschodnia, lecz raczej zachodnia, t. j., że liczba służb wojennych liczyła się jak na zachodzie od wielkości uprawianej roli, a nie od liczby posiadanych chłopów, dowodem tego wyrazy takie, jak h u b i e n n i k na oznaczenie wasala, dowodem tego komenda wojsk, która była niemiecką.

Natomiast handel był w niemowlęctwie. Wprawdzie czytamy w źródłach współczesnych o handlu Żmudzinów z Krzyżakami zbożem, skórą, woskiem i t. p. Wprawdzie czytamy o traktatach handlowych Gedymina z Rygą, które Olgerd był uskutecznił, ale to wszystko były zaczątki do dzieła. Główną przeszkodą do handlu był brak gościńców handlowych, a stąd trudności wywozu i przywozu. Dlatego to zimą tylko dostawał się kupiec zachodni w głąb Litwy drogą lądową, podczas, gdy latem dostawał się Dźwiną albo też Przegołą i Pissą do Narwi, gdzie brano łodzie na wozy i po ośmiu dniach drogi kołowej dostawano się do Niemna, a rzekami pobocz-

---

[118]) **Antonowicz za pewnik przypisuje.**

nemi w samo serce Litwy. W szczególności Ryga zmonopolizowała handel litewski i tym handlem głównie stała i rosła w bogactwo, chociaż i Krzyżacy tak sami wiedli handel w pauzach rozejmowych, jakoteż i poddanym swym pozwalali rozwijać na Litwie handlowe stosunki. Na nieszczęście pauzy te były zbyt małe, aby się handel mógł rozwinąć.

Brak bitych dróg komunikacyjnych, a łatwość większa użycia rzek na gościńce handlowe, spowodowała zapewne Olgerda do zapanowania nad krajami otaczającymi z dwóch stron ów wielki gościniec wodny, jakim był Dniepr. To też handel Dnieprem rozwija się coraz bardziej, tak samo Bugiem, a z myt wodnych ma w początkach XV w. wielki książę tutaj niemałe już dochody. Zresztą i tutaj na wschodzie niestałe stosunki z Tatarami są przeszkodą w rozwinięciu się handlu, który w ogólności najbardziej jest intenzywnym na pograniczach plemiennych, a więc na granicach od Prus, od Łotwy, od Mazowsza. Z chwilą, kiedy Gedymin w Wilnie założył stolicę, nadpływa kupiectwo zachodnie głównie z Rygi, i tutaj w nowej stolicy utrzymuje skład zachodnich towarów na całą Litwę. Odtąd Ryskie mieszczaństwo, związane interesami handlowymi z Litwą, popiera interesa jej władców, ich dążenia, jest pośrednikiem pomiędzy nim a zachodem i w usiłowaniach chrystjanizacji Litwy nie małą odgrywa rolę. Jakkolwiek pomiędzy Zakonem Niemieckim a Litwą niemal nieustanna trwa wojna, kupcy zachodni za pośrednictwem Ryżan pozostają w przyjaznych stosunkach z władcami Litwy, a niekiedy w czasie wojen swych z landmistrzami powołują nawet Litwinów do obrony swej stolicy od wojsk Krzyżaków. Stosunek taki nie zadziwi nas wcale, skoro zważymy, że Krzyżacy i na polu handlu współzawodniczyli z kupiectwem, że dążyli do zmonopolizowania handlu, a że z drugiej strony kupiectwo, korzystając z potężnej opieki książąt litewskich w całem ich wielkiem państwie, odnosiło korzyści, jakich mu nawet w części nie zapewniali mistrzowie Zakonu. Ale też we wzroście kupiectwa zachodniego czerpała Litwa zasób sił materjalnych, który jej umożliwiał zadziwiająco rychłe spotężnienie. W miarę tamowania tych dobrych stosunków handlowych przez Krzyżaków przy pomocy ich silnych i coraz gęściejszych twierdz pogranicznych, szuka handel litewski nowych dróg na zachód, gdzie dotąd Bug i Narew tworzyły główne arterje komunikacyjne i łączy się gościńcami zimowymi z małopolskim Lublinem i z mazowieckiemi grodami nad Narwią i Wisłą.

W pobliżu Małopolski są też główne targi niewolników, jak np. w Łucku, chociaż i na Litwie właściwej, w samej stolicy, istnieją targi niewolników. Pośrednikami w tym handlu byli, jak wiadomo, Żydzi.

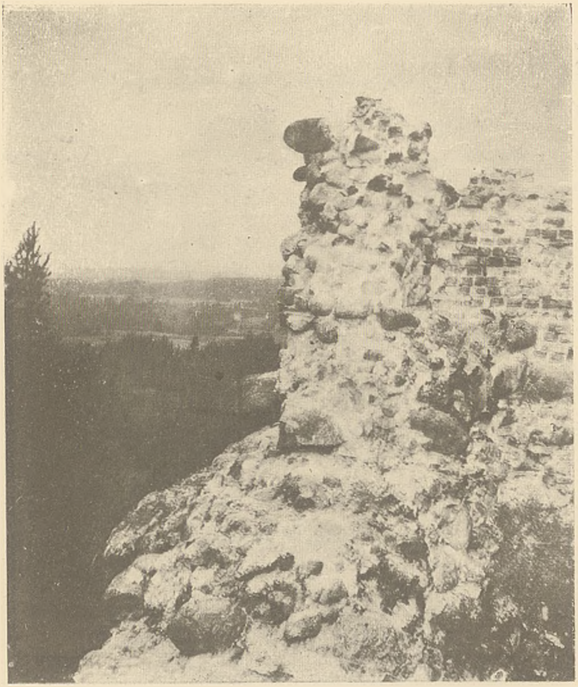
Zresztą handel z Polską i Mazowszem nie jest wielkim i tylko w chwilach niebezpieczeństw od Zakonu urasta, podczas, gdy handel z Inflantami, a w części i z Prusami jest stałym źródłem wzrostu Litwy. Dopiero, gdy Kazimierz Wielki pozakładał ogniska handlu zachodniego w Chełmie, Bełzie, Lwowie, Haliczu, Krzemieńcu i kiedy równocześnie nacisk Zakonu pod mistrzowstwem Kniprodego silnie się zaznaczył, kiedy to ostrymi zakazami Krzyżacy odcięli handel niemieckich kupców od Litwy, a w szczególności zabronili dowozu broni i w ogólności środków obronnych, natenczas urosła na Litwie konieczność utrzymywania stałych stosunków handlowych z Mazowszem i z Krakowem. W taki to sposób pod koniec panowania Olgerda przygotowywała się dla handlu litewskiego nowa era, torująca drogę Jagiełłowym zamysłom, i unji w Krakowie. Sama bowiem nadzieja zaczerpnięcia sił materjalnych z Krakowa w epoce wiszącego nad Litwą miecza Krzyżackiego, była otuchą dla Wielkiego Księcia i jego ludów w chwili niedoli i ucisku. A jeżeli Wielki Książę w dalekim zachodnim grodzie witał źródło siły materjalnej dla Litwy, cóż dopiero powiedzieć o tych, którzy ginęli z powodu wymykających się z rąk środków życia, a którzy napowrót środki te drogą zachodnią odzyskać mieli nadzieję. Niezawodnie, że to nowe źródło siły materjalnej uśmiechało się i książętom litewskim i tym licznym bojarom, pozostającym w krępujących stosunkach lenniczych, w ludzie pozostającym w niewoli, a wszystkich niemiłosiernie tępionych przez Krzyżaków. Nacisk tych ostatnich odbiera już Litwie, potężnej terytorjalnie, nadzieję skutecznego dalszego odporu, zwłaszcza, gdy i etnograficznie sprzeczne żywioły rozdwajały Litwę, a Krzyżacy coraz skuteczniej odcinali ją od zachodu i od morza. Wielki książę i jego ludy musieli się zwrócić do źródła, skąd mogli zaczerpnąć siłę do dalszej obrony. Tak przeto powody czysto materjalnej natury parły Jagiełłę na drogę zachodnią, do Krakowa.

Antoni Prochaska.



Ogólny widok Wolkimborgu od strony południowej.

Fot. p. Kaz. Kulwiecia.



Widok ruin zamku wolkimborskiego.

Fot. p. Ireny Römerówny.

Zamki w Inflantach polskich.

Inflanty Polskie, to ze wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej najdalej na północ wysunięta placówka kultury zachodniej i wiary rzymsko-katolickiej. Niegdyś — jak sama nazwa dowodzi— stanowiły jedną całość z prowincją nadbałtycką tegoż miana, którą Niemcy Liflandją, czyli Liwonią zwykli nazywać.

W XI i XII wieku wybrzeże morskie, począwszy niemal od ujść Wisły, zamieszkałe były przez plemiona letońskie: Prussów, Litwinów, Żmudzinów, Kuronów, Liwonów i Łotyszów, którzy też morzu swemu nazwę Bałtyku nadali, co w ich języku oznacza „Białe morze“.

Dalej szeregowały się plemiona estońskie i fińskie, które przedtem prawdopodobnie po Niemen się rozpościerały, następnie pod naporem Litwy i Słowian stopniowo na północ się cofnęły.

Dolny bieg Dźwiny, zwłaszcza prawy jej brzeg, aż po ujście, dotychczas zamieszkały jest przez Łotyszów, którzy atoli, jak pamięć sięga, nie byli wyłącznymi tej ziemi panami, z jednej strony bowiem niedobitki fińskie, mniej lub więcej gęsto rozsiane, formowały oazy, z drugiej strony, od wschodu, zalewała fala słowiańska, gdy potężny Połock nad całym biegiem Dźwiny, aż po jej ujście, rozpościerał swe panowanie.

Najstarsze kroniki świadczą, że Dźwina aż po ujście dobrze znana była plemionom ruskim, górny jej bieg zamieszkującym:

„Dwina idiet na połunoszczje i wnidiet w morie Wariażskoje. Tiemże i iz Rusi możet iti po Dwinie w Wariagi, iz Wariag do Rima...“*).

---

*) Letopiś po Ławrentjewskomu spisku str. 6.

Rosnący w potęgę Połock, aby wzmocnić i zapewnić panowanie swe na zachodzie, zakłada nad dolnym biegiem Dźwiny dwa kasztele: Kukenauzę i Gercike. Co się tyczy Kukenauzy, miejscowość ta dotychczas istnieje, co do Gercike natomiast, długo trwał spór archeologów, gdzieby się mógł znajdować, dopiero Döringowi udało się odkryć ślady tego grodu na wzgórzu nad Dźwiną w Inflantach polskich, niedaleko majątku Schlossbergu), oraz stacji kolei żelaznej Carogród *).

Czy posiadali Połoczanie inne jeszcze osady w kraju nadbaltyckim, o tem źródła milczą, w każdym bądź razie wpływ ich w wieku XII być musiał tu nie mały, skoro kronikarze niemieccy uważają ich za właściwych kraju tego panów, oczywiście przed przyjściem tu Zakonu niemieckiego.

„Selhen, Liven, Letten lant
Waren in der Rusen hant
Var der bruder ziten komen
Der gewalt wart im benomen" **).

(Ziemie Zelow, Liwow i Łotyszów były w posiadaniu ruskim, zanim nadeszli Bracia Mieczowi, którzy ich pozbawili władzy).

Atoli panowanie Połocka ograniczało się do wymuszania rocznej daniny od plemion zamieszkujących te dzielnice, wpływu kulturalnego nie potrafił wywrzeć, ani też dać poznać ludom w pogaństwie pogrążonym światło wiary Chrystusowej. Świadczą o tem wyraźnie źródła zarówno niemieckie, jak i ruskie. Żyjący w końcu XII i na początku XIII w. kronikarz niemiecki, znany pod nazwą „Henryka-Łotysza", pisząc o księciu połockim Włodzimierzu i stosunku jego do plemion inflanckich, powiada między innemi: „Accepta itaque licentia a rege Valdemaro de Plescere cui Livones, adhuc pagani (sic) tributa solvebant... ***). To samo potwierdza ruski latopisiec: „A sie sut' inyi jazycy iże dań dajut Rusi: Czud' Litwa, Zimigoła, Korś, Narowa, Lib'..." ****).

Cały ten pierwotny perjod historji pokrywa jednak mrok gęsty, faktyczne swe „odkrycie" zawdzięcza kraj ten niemieckiemu „Drang nach Osten".

---

*) Juljus Döring „Gercike" Rig. Ztg. z r. 1878 Nr. 193.

**) Livl. Reimchronik w. 645—648.

***) Menumenta Germaniae historica t. 23: „Heinrici Chronicon Livoniae".

****) Letop. po Ławr. sp. str. 10.

Prawie nigdy nie szli Niemcy zwartą, szeroką ławicą, co by za dużo wymagało sił i tem rozpaczliwszy zbudziło opór. Woleli wysuwać na wschód niezmiernie długie macki polipa, które, z kolei rozdwajając się, żelazną obręczą opasywały całe prowincje, lub kraje. Jedna więc taka odnoga niemczyzny poszła w kierunku południowo-wschodnim, przez Czechy, korytem Dunaju zmierzając ku morzu Czarnemu — druga w kierunku północno - wschodnim, trzymając się wciąż wybrzeży Baltyku. Znikło słowiańskie Pomorze, scześli litewscy Prussowie, taki stopniowy podbój jednak zbyt powolnym musiał się wydać zdobywcom, przeczuwając nadto zacięty i długotrwały opór nad brzegiem Niemna, morzem okrążają kraj ten, lądują u ujścia Dźwiny, niby klin głęboko wrzynają się w kontynent, by następnie z dwu stron ścisnąć Litwę, jakby w żelazne kleszcze.

Zanim niemiecka stopa dotknęła ziemi liwońskiej, u jej wybrzeży zawijały niejednokrotnie statki handlowe duńskie, oraz szwedzkie. Ani ci, ani tamci jednak w głąb kraju się nie posuwali, natomiast Szwedzi posiadali na wyspie Gotland w Wisby wyborny port handlowy, który panował nad całym handlem wschodnim. Na ten czas przypada jednak rozkwit północno-niemieckich miast handlowych, które niebawem dla handlu szwedzkiego groźnym stały się konkurentem. Lubecka i Brema, jakkolwiek również mają przystań, oraz filje w Wisby, starają się pozbyć pośrednictwa Szwedów, by bezpośredni nawiązać stosunek z Finami. Statek bremeński, który wyruszył w tym celu, kierując się ku wybrzeżom finlandzkim, burzą zaniesiony został bardziej południowo do zatoki ryskiej, tu wylądowali podróżni prawdopodobnie u ujścia Dźwiny. Było to mniej więcej w połowie XII wieku. Wypadek ten opiewa tak zw. starsza rymowana Kronika Liflandzka, która spisana została prawdopodobnie około 1291 r., a więc w jakieś 150 lat po przybyciu tu pierwszych Niemców. Kronikarz opowiada, że krajowcy, usłyszawszy o wylądowaniu obcych, początkowo napadli na nich, zostali jednak odparci orężem, poczem już bardziej przystępni okazali się dla pokojowych stosunków, zbliżono się, zamieniono towary, poczem Niemcy, radzi z korzystnego interesu, odpłynęli. Odtąd coraz częściej zawijały statki niemieckie u ujścia Dźwiny. Jak zwykle i w tym razie pokojowy podbój ekonomiczny uprzedzić miał terytorjalny. Niedługo jednak zadawalniano się podobnym stanem rzeczy, zdobycz wydawała się zbyt łatwą i ponętną, aby dłużej mia-

no zwlekać. Środkiem potężnym, usprawiedliwiającym wszelki zabór tak w owych odległych wiekach, jak poniekąd i dziś może, była propaganda chrześcijaństwa. Niewątpliwie, że większość misjonarzy, niosących z narażeniem życia Słowo zbawienia śród ciemne masy pogaństwa, natchniona była prawdziwym duchem Bożym, spełniała wielką misję kulturalną, również jednak zdaje się nie podlegać kwestji, iż ci, pod których opieką odbywało się owe „nawracanie“ pogan, często kierowali się względami cale świeckiemi, mając li tylko własną korzyć na względzie.

Nieomieszkali tedy Niemcy skorzystać z tej pomocy, jaką im Kościół mógł zapewnić, jakoż po kilkunastu może latach stosunków handlowych, przybywa z Niemcami mnich pobożny Meinhardt, z holsztyńskiego klasztoru Segeberg. O działalności tego apostoła Inflant świadczy nam kontynuator słynnej „Chronicae Slavorum“ Helmolda, opat Arnold z Lubeki. Meinhard prowadził swe dzieło nawracania pod osłoną coraz to częściej zawijających tu statków niemieckich, jako też już na stałe osiadłych kolonistów. Że zaś traktował misję swą przeważnie ze strony formalnej, zadawalniając się samym aktem udzielenia chrztu, nie natrafił na zbyt zacięty opór ciemnych tubylców. Widząc tety, że żniwo obfite, i że sam podołać nie może, zwrócił się Meinhard około 1186 roku do arcybiskupa Bremy z propozycją przysłania mu pomocników, w celu rozwinięcia propagandy na szeroką skalę. Prośba jego, jak łatwo wyobrazić, nader przychylnie została przyjęta, tymczasem sam Meinhard nie pokładał rąk, wzmacniał i rozszerzał, jak umiał, chrześcijaństwo, a z niem razem wpływ niemiecki, potrafił nawet przekonać zazdrośnych o władzę nad krajem Połoczan, aby mu przeszkód nie czynili. Nad dolnym biegiem Dźwiny, na prawym jej brzegu, buduje pierwszy niemiecki zamek obronny i kościół Uxküll i zakłada konwent. Za swą gorliwość zostaje, dzięki poparciu arcybiskupa bremeńskiego, biskupem Uxküllu. Nowa djecezja pozostawała jednak w całkowitej zależności od Bremy, interes, jaki u niemieckich dostojników kościelnych zbudził świeżonawrócony kraj, wyrażał się przedewszystkiem w coraz to natarczywszem rządaniu dziesięciny. Takie postępowanie na wstępie zrazić musiało tubylców, którzy nader dowcipnie sobie poradzili ze swem świeżem chrześcijaństwem: zmywszy bowiem chrzest w sposób literalny, zanurzając się w falach Dźwiny, gromadnie napadli na zamek Uxküll. Twierdzy nie zdobyli, bądź co bądź przyczynili Niemcom

sporo trudności, co zaś główne, pierwsze hasło do ogólnego powstania było dane. Meinhard, przewidując groźniejsze wypadki, nie chcąc jednak opuścić swej stolicy, zamyka się w zamku i wysyła do Rzymu wikarjusza swego Dytrycha ze szczegółowem sprawozdaniem. Rezultatu tej misji nie doczekał się, gdyż umarł 1196 r. Wieści o zamieszkach w Inflantach i śmierci Meinharda wywołały niepokój w Bremie, postanowiono względem nowonawróconych użyć argumentów orężnych, w tym celu zostaje naznaczony na biskupstwo Berthold, który wylądowuje 1198 r. na czele silnej załogi.

Tymczasem jednak potrafiły skupić się i zjednoczyć plemiona liwońskie, a otrzymawszy nadto zasiłki od sąsiednich Rusinów, Estów i Litwinów, na wstępie pobili Niemców, biskup Berthold żywcem został rozszarpany. Teraz kraj cały otwarcie odpadł od chrześcijaństwa, wypędzając Niemców, gdzie się byli osiedli, a znalezione krzyże rzucając w morze. Sprawa niemiecka w Inflantach niemal że była przegrana, w takiej opresji arcybiskup bremeński zwraca się o pomoc do Papieża Innocentego III. Biskupem inflanckim zostaje, oczywiście, z ramienia arcybiskupa bremeńskiego, kanonik bremeński Albrecht Buxhövden, także de Appeldern nazwany, energiczny i przebiegły. Papież ogłasza krucjatę, popiera ją król duński Kanut VI, niektórzy książęta niemieccy, zwłaszcza zaś najbardziej zainteresowane północno-niemieckie miasta handlowe.

Roku 1200 flota krzyżowa, składająca się z 23 statków, zawija u ujścia Dźwiny. Do poważniejszego starcia z krajowcami nie doszło jednak dzięki podstępowi biskupa Albrechta, który, zaprosiwszy na ucztę niby w celu pertraktacji, starszyznę liwońską, wszystkich uwięził, i dopiero zgodził się wypuścić w zamian za obietnicę przyjęcia chrześcijaństwa i uległości kościołowi i jego przedstawicielom. Dla pewności zaś musieli dzieci swe dać na zakładników. Dzieci w ilości trzydziestu natychmiast wysłano do Bremy, gdzie wychowywane po niemiecku zniemczały niebawem. Po powrocie swym do kraju dały one początek niektórym rodom szlacheckim niemieckim o nazwisku łotewskim, z których kilka do dni naszych przetrwało.

Pozbawiwszy takim sposobem miejscową starszyznę wszelkiego wpływu, rozdzielił ogromne przestrzenie kraju, jako lenne rycerzom, którzy z nim przybyli, tworząc w ten sposób osiadłą klasę arystokracji niemieckiej, która w dziejach Inflant tak wybitną odegrać miała rolę. Położenie Uxküll, jako zbyt odległego od

morza, uznane zostało za niedogodne, natomiast Ryga, która dotychczas była nieznaczną przystanią handlową, wzmocniona, i tutaj w roku 1201, czyli, jak inne źródła podają, 1202 przeniesiona stolica biskupia.

By ostatecznie zapewnić panowanie Krzyża, biskup Albrecht łączy go... z mieczem, władzę duchowną ze świecką i tworzy z błędnych rycerzy i awanturników, przybywających coraz tłumniej, w r. 1202 nowy zakon inflancki na wzór jerozolimskich templarjuszów. Właściwa nazwa zakonu Fratres militiae Christi, członkowie jego, podobnie jak templarjusze, mieli płaszcze białe, znaczone krzyżem czerwonym, miecz zaś odmiennie np. od Krzyżaków, nosili na płaszczu, skąd pospolicie zwani byli Fratres ensiferi lub gladiferi, po niemiecku Schwertbrüder, Schwertritter, czyli Bracia, Kawalerowie, lub Rycerze Mieczowi. Niezmiernie ważnym dla historji szczegółem jest, że zakon ten podlegał władzy zarówno świeckiej, jak duchownej biskupów ryskich i od nich był całkiem zależny. Pierwszym mistrzem był niejakiś Vinno, czyil Winhold, o którym kroniki bardzo skąpe zawierają wieści. Urzędował od 1204—1209 r., a siedzibą jego było nowo założone Wenden.

W r. 1207 biskup Albrecht, chcąc zyskać szersze poparcie, a być może niezależność od uciążliwego patronatu Bremy, która wciąż uważała Inflanty za swą kolonję, wyszukał sobie większego pana i oddał nowo zdobyczny kraj cesarzowi Filippowi szwabskiemu, sądząc, że w ten sposób większej użyje samodzielności, nadto potrafi większe zmobilizować siły dla dalszych zdobyczy. Jakoż cesarz podnosi biskupa inflanckiego do godności i praw księcia Rzeszy niemieckiej i wypuszcza mu kraj jako lenno, przyczem zakon Braci Mieczowych, zawsze podwładny biskupowi, ma otrzymać trzecią część ziem zdobytych. Od tego roku, a właściwie od 1209, gdy po śmierci Vinno nastał drugi mistrz zakonu Kawalerów Mieczowych Volquin, zaczynają się podboje na wielką skalę. Niezależnie od szczęśliwych wypraw na północ i południe, które Niemcom dają cały szeroki pas nadbrzeżny: Estonję i Kurlandję, instynkt zaborczy prowadzi ich wciąż na wschód, w głąb kraju. Książe połocki Włodzimierz, połączywszy się z Łotwą i Estami, probuje stawić opór. Wtedy Niemcy zdobywają Kukenauzę, w ślad zatem Gercike (1209 r.) czego nie dokonał miecz, to sprawiły układy. Mądry biskup Albrecht obiecuje wypłacać księciu Włodzimierzowi taką da-

ninę, jaką przedtem z tych krajów wybierał, poczem ten już całkiem uspokojony odstępuje swych sprzymierzeńców Łotyszów i zawiera 1210 r. z Niemcami przymierze, które im otwiera na oścież wrota do dalszych zaborów.

Wprawdzie 1216 r. Włodzimierz, nieotrzymawszy prawdopodobnie obiecanej daniny, raz jeszcze przywołuje Łotyszów, gromadzi swe wojsko, statki stoją gotowe na Dźwinie, któremi miano w dół płynąć, aliści niespodzianie książe umiera, skutkiem tego zamierzona ekspedycja wojenna upada.

Odtąd Połock, zajęty zresztą ustawicznemi niesnaskami z Litwą, nie próbuje nawet stawiać oporu Niemcom. Zakon, uczuwszy się panem położenia z łatwością zagarnia resztę ziem przez Łotyszów zamieszkałych. W tym to czasie prawdopodobnie dostaje się pod jego panowanie ta wschodnia dzielnica Łotwy, którą później poznamy pod nazwą Inflant Polskich.

O ile jednak powodziło im się na wschodzie, o tyle trudniej szły rzeczy na Litwie. Wprawdzie Kurlandja zgięła kark pod jarzmo najezdców, dalej jednak napotykają Niemcy żelazny opór. Litwa zawiera przymierze z Pskowem, który przeboleć nie może utraty Estonji. Roku 1236 książę żmudzki Wikint, prawdopodobnie przy pomocy Mendoga, oraz Pskowian, zadaje Braciom Mieczowym straszną klęskę pod Szawlami, gdzie poległ sam mistrz Volkwin. Cios był dotkliwy i nawet egzystencja zakonu zagrożona. Wtedy za pośrednictwem Papieża Grzegorza IX i głównie książąt niemieckich, którym niezmiernie chodziło o utrzymanie tej nowej kolonji, następuje w r. 1237 zlanie się Braci Mieczowych z potężnym Zakonem Krzyżackim, czyli że efemeryczny zakon Braci Mieczowych pochłonięty został przez Krzyżaków. Przywdziewają strój Krzyżacki, płaszcz biały, czarnym znaczony krzyżem, odtąd Inflanty stają się prowincją Niemieckiego Zakonu Krzyżackiego pod władzą osobnego Landmistrza. Posiadają swój sztandar, wyobrażający Matkę Boską z Dzieciątkiem, w szacie błękitnej na tle białym, skąd też kraj ten otrzymuje nazwę niekiedy przez kronikarzy używaną „Terra Mariana".

W zasadzie prowincja inflancka, podobnie jak Bracia Mieczowi, winna była uległość biskupom (od roku 1253 arcybiskupom) ryskim. Taki stan rzeczy nie mógł się podobać dumnym Krzyżakom, jakoż dalsza historja Inflant, to szereg nieprzerwanych zatargów Zakonu z arcybiskupem o władzę. Zakon, mając siłę orężną, rósł w potęgę,

wznosił na kresach potężne zamki obronne, szerzył wewnątrz kulturę niemiecką. Arcybiskupi ryscy w opressji swej niejednokrotnie szukali oparcia u królów polskich, stąd wcześnie już nawiązują się między Polską a Inflantami owe nici wzajemnych stosunków, które miały w końcu doprowadzić do poddania się Rzeczypospolitej, zanim jeszcze doszło do skutku ostateczne połączenie się Litwy z Polską w Lublinie.

Ustawiczne zatargi między arcybiskupem a Zakonem nie mogły oczywiście sprzyjać wzmocnieniu się chrześcijaństwa w kraju. Lud łotewski, z nazwy tylko chrześcijański, utrzymywany był w ciemnocie i niewolnictwie, dla arystokracji niemieckiej religja była kwestją interesu. Na dobitkę obok władzy arcybiskupiej i Zakonu nowa wyrasta potęga: wzbogacone mieszczaństwo niemieckie, które, łącząc się z Hanzą, w swym ręku koncentruje rządy miast, nadając im ten niezrównany polor kulturalny, którym dotychczas, mimo najnowszych naleciałości się odznaczają.

Reformacja niezmiernie łatwy znajduje wstęp, gdyż każdy spodziewa się na tem dobry interes zrobić: mieszczaństwo — oswobodzić się z pod władzy biskupiej i Zakonu, Zakon — ostatecznie zgnębić arcybiskupa, a co główne, szlachta, która materjalnie była zależna od biskupów, gdyż od nich dzierżyła swe dobra na prawie lennem, tym sposobem posiąść miała ogromne obszary na własność wieczystą. Tak powstały kolosalne fortuny baronów inflanckich. Wzrost dobrobytu — a co zatem idzie — rozluźnienie obyczajów z jednej strony — z drugiej strony upadek dyscypliny zakonnej, pozbawiają kraj tej podstawy militarnej, którą dotychczas silny był, jednocześnie zaś nagromadzone bogactwa budzą zaborcze chęci sąsiadów. Car Iwan Groźny, odnawiając dawne pretensje, wypowiada 1557 r. wojnę, mimo rozpaczliwej obrony i niewątpliwie bohaterskich czynów pojedyńczych rycerzy, wewnętrzna niezgoda stanów nie daje skupić się wszystkim dla tem skuteczniejszego odporu. Pozostają dwa wyjścia: albo poddać się Moskwie, albo li też szukać pomocy zagranicą.

Rzesza niemiecka skutkiem oddalenia i własnych w owym czasie kłopotów, była w danej sprawie bezsilna — Szwedów obawiano się z powodu znanej ich chciwości, niepomiernych podatków i konfiskat, któremi gnębili kraje zarówno zdobyte siłą orężną, jak te, które dobrowolnie się poddały.



Widok ruin zamku wolkimborskiego od strony północnej.

Fot. p. Ireny Römerówny.



Widok ruin zamku wolkimborskiego.

Fot. p. Ireny Römerówny.

Pozostawała Polska, na on czas pod panowaniem jednego z największych swych monarchów—Zygmunta-Augusta— u szczytu swej potęgi stojąca, znana z ducha tolerancji i szerokiego liberalizmu względem inoplemieńców zarówno jak inowierców. Nie odrazu wprawdzie zdecydowały się losy kraju, próbowano jeszcze własnemi bronić się siłami, udawano się o pomoc do Papieża, do Rzeszy niemieckiej, w końcu jednak górę bierze stronnictwo przychylnie dla Polski usposobione, na Landmistrza Zakonu wybierają 1559 r. Gottharda Kettlera, ten, po ostatnim daremnym wysiłku uzyskać pomoc swych rodaków, w celu utrzymania niezależności, poddaje się wraz z arcybiskupem 1561 r. Polsce. Zakon zostaje rozwiązany, kraj nazawsze odpada od Rzeszy niemieckiej. W następnym już 1562 roku wszystkie stany Inflanckie „wolne, wolnej poddają się Rzeczypospolitej polskiej“, zostają wcielone do Rzeczypospolitej, jako udzielne Księstwo, król polski na mocy pamiętnego „P r i v i l e g i u m S i g i s m u n d i A u g u s t i“ zapewnia „jaknajdoskonalszą w prawach i prerogatywach koekwację“ z zastrzeżeniem, „że stany Inflandzkie przy Auszpurskiej Konfessji mają być zachowane, że Sądy, Zamki i Starostwa wszystkie mają być Szlachtą narodu Inflanckigo opatrzone“.

Księstwo Inflanckie otrzymuje herb swój tego kształtu: Gryf z mieczem, srebrny, w polu czerwonem. Dziób, język, szpony, pazury i oprawa miecza — złote. Na piersiach cyfra królewska S. A. (Sigismundus Augustus). Znakomita rodzina litewska Chodkiewiczów, herbu „Kościesza“, w 2-giem polu swej tarczy mieści takiegoż zupełnie gryfa z wyjątkiem cyfry. Jan Chodkiewicz, ojciec Jana Karola, wielkiego hetmana, kasztelan Wileński, starosta Żmudzki, hrabia na Szkłowie, miał powierzone sobie sprawy inflanckie. Jest domysł, że herb Inflant pochodzi od owego Chodkiewicza, któremu król Zygmunt August miałby w ten sposób okazać uznanie za organizacyjną i pojednawczą w duchu Jagiellońskim działalność w trapionym wojną i niesnaskami kraju *).

Nie zażyły jednak Inflanty trwałego pokoju pod nowem panowaniem. Niszczyła je wojna Rzeczypospolitej z Moskwą, następnie wojna z Szwecją, która od początku XVII wieku ciągnie się aż do 1660 r., kiedy na mocy traktatu w Oliwie Inflanty od Rzeczy-

---

*) Tadeusz Dmochowski. „Herbarz litewski“, „Kwart. litewski“. Rok 1910, tom II.

pospolitej odpadły. Niedługo jednak cieszyła się Szwecja swą zdobyczą, 1710 roku Inflanty poddają się Carowi Piotrowi I, co potwierdza ostatecznie traktat Nysztacki 1721 r.

Nie całe atoli Inflanty przeszły na mocy umowy Oliwskiej pod panowanie szwedzkie, wschodni ich skrawek został przy Polsce. Były to trzy dawne wójtowstwa Krzyżackie, za polskich rządów traktami zwane: Dyneburski, Rzeżycki i Lucyński z obwodem Maryenhauskim. Kraik ten, początkowo jako województwo, od r. 1677 księstwo Inflanckie, pod nazwą Inflant Polskich, wiernie pozostawał przy Rzeczypospolitej aż do pierwszego jej rozbioru, kiedy przyłączony został do Rosji początkowo pod nazwą prowincji Dźwińskiej i 1802 r. wcielony do gubernji Witebskiej.

Już w XVI wieku, to jest w czasie przyłączenia Inflant całych do Polski, wschodnia jej połać znacznie różnić się musiała od zachodniej, nadmorskiej strefy. Podczas gdy tu bowiem wysoka kultura niemiecka głębokie zapuściła korzenie, nadając krajowi wygląd czysto niemieckiej prowincji, z miastami murowanymi na wzór zachodni, gotyckiemi świątyniami i kamienicami zbogaconego mieszczaństwa—na wschodzie był kraj zgoła niedotknięty jeszcze kulturą, w zupełnem pogaństwie pogrążony.

Była więc to tabula rasa, na której Polska dopiero wypisać miała wielkie słowo kultury rzymsko-katolickiej.

Dziś podupadły, wyniszczony i zdemoralizowany ten kraik, miał przecie w XVIII wieku swój perjod wysokiego rozkwitu ekonomicznego zarówno jak umysłowego, który zawdzięczał wyłącznie Polsce.

Nie myślimy bynajmniej zmniejszać kulturalnych zasług Niemców, jakie położyli dla Inflant, te jednak dotyczą wyłącznie części zachodniej kraju, do kresów wschodnich nie zdążyła dotrzeć kultura niemiecka, misja ta z konieczności przypaść musiała Polsce.

To, co po dawnym dziedzicu tej ziemi—Zakonie Krzyżackim—zostało, są ślady zaledwo, które z czasem całkowicie zniknąć muszą.

A więc przedewszystkiem garść rodzin szlacheckich pochodzenia niemieckiego. Bar. Gustaw Manteuffel w swej kapitalnej monografji Inflant Polskich wylicza wszystkiego 36 rodów rycerskich,

---

*) „Inflanty polskie“ skreślił Gustaw baron Manteuffel. Poznań 1879 r.

osiadłych w Inflantach Polskich w wieku XVI, t. j. w czasie, gdy całe Inflanty wcielone zostały do Rzeczypospolitej. Do tego dodać należy jeszcze 19 rodów inflanckich, osiadłych początkowo w innych tego kraju dzielnicach, które w XVII i XVIII wieku z pod rządów szwedzkich i rosyjskich do Inflant Polskich się przesiedliły. Szlachta niemiecka polskich Inflant zachowała swój język i obyczaj niemiecki mniej więcej do końca XVII wieku, a następnie, chociaż przez nikogo nie przymuszona, spolonizowała się całkowicie. Dzisiaj tylko nazwiska (często niemiłosiernie przekręcone) świadczą o jej pierwotnem pochodzeniu.

Z liczby 55 wspomnianych rodów, bardzo nieliczne tylko przetrwały w Inflantach do XIX wieku, jako to:

Borchowie, Korffowie, Manteufflowie, Mohlowie, Platerowie, Römerowie, Ryckowie, Sybergowie.

Jeszcze świadczą nam o dawno minionych czasach szczątki zamków krzyżackich: Wolkenburg, Kreutzburg (Kryżbork), Dünaburg (Dynaburg), Rossiten (Rzeżyca), Ludsen (Lucyn), oraz Marienhaus (Marynauza).

Te jednak, pod wpływem czasu i zbrodniczej ręki wandalów, topnieją na oczach niemal, niebawem śladu po nich nie zostanie.

Póki czas, postaraliśmy się zebrać kilka widoków fotograficznych, tych ruin w ich stanie obecnym, oraz kilka widoków dawniejszych, którymi dzielimy się z czytelnikami naszymi, aby w ten sposób przynajmniej utrwalić mizerne szczątki potężnych niegdyś pomników dawno minionej przeszłości. Jako objaśnienie dodajemy garść uwag treści historycznej, topograficznej i architektonicznej, zebranych z różnych dostępnych nam źródeł oraz własnej obserwacji.

I.

ZAMEK NA WOLKENBERGU.

Od Wałdaju wybiega w kierunku południowo-zachodnim łańcuch wyżyn, tworząc podział wód między Dźwiną a basenem Pejpusu z jego dopływami. Wzgórza te i pagórki, przecinając Inflanty polskie, — t. j. pow. lucyński, rzeżycki i dynaburski — dochodzą tu dość znacznej wysokości, by w zachodniej części tego kraiku przejść w monotonną nizinę. Niezliczone wprost jeziora i jeziorka rozrzucone po dolinach, nadają Inflantom naszym wygląd bardzo

uroczy i urozmaicony. Gdy jadąc z Wilna w kierunku północnym miniesz litewską piaszczystą równinę, ów kraj „zapadły... senny“, gdy przeprawisz się przez Dźwinę w okolicach starego Dynaburgu, jakże wesoło twe oko w koło potoczy, jak uroczy przed tobą rozciągnie się widnokrąg. To kraj tysiąca jezior, leśnych pagórków, łąk kwitnących. Niebo tam czyste, ziemia falista, zatopiona blaski słonecznemi, a bór sosnowy pełen tajemniczych cieni, pełen woni żywicy i poziomek. Gdzieniegdzie zadumana, samotna jodła wierzchołkiem niebo bodzie, wkoło dworku szumią lipy stare, jarząbiny się rumienią, a gdzieś na wiejskim cmentarzu płaczą brzozy białe. Na dnie urwistych wąwozów szemrzą strumyki, pagórkami srebrzą się wązkie zagony owsa, lny błękitne kwitną, a na wzgórzach, wysoko ponad lasy, pola, wznoszą się malownicze ruiny starych, potężnych zamków, dumne nawet w swym upadku.

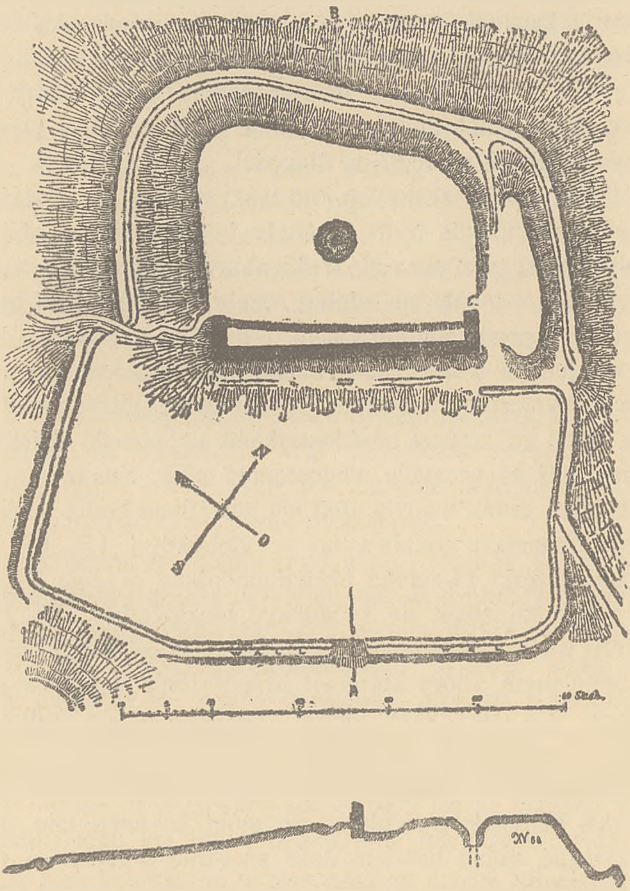
Największem z jezior inflanckich jest jezioro łubańskie, na dawnych mapach „M a r e l u b a n i c u m“ zwane, położone na granicy Inflant polskich i szwedzkich, bagniste, porośnięte w znacznej części trzciną.

Drugie z kolei co do obszaru, stanowczo jednak najpiękniejsze i najgłębsze, jest jezioro Raźno. Położone w południowo-wschodniej części pow. rzeżyckiego, wysoko nad poziomem morza, stąd bowiem początek bierze jedna z głównych rzek inflanckich — Rzężyca. Potężna tafla jeziora otoczona przeważnie urwistym, wysokim brzegiem.

Na południowym brzegu jeziora wznosi się stromo do 300 stóp nad poz. morza najwyższy z pagórków inflanckich, tak zw. Wolkenberg. Nazwę swą, nieużywaną zresztą przez lud miejscowy, zawdzięcza góra ruinie zamku „Wolkenburg“, która wieńczy jego wierzchołek. Dziś Wolkenberg nie wznosi się bezpośrednio nad brzegiem jeziora, odległość wynosi około wiorsty, możliwem atoli jest, że przed wielu wiekami fale Raźna bezpośrednio stóp jego dotykały, piaszczysty, napływowy grunt zatem przemawia. Stoki góry, porośnięte gęstym lasem sosnowym, niezmiernie spadziste, tylko od strony północno-zachodniej łagodnie schodzi się ku równinie.

Widok ze szczytu góry przepiękny, na północ olbrzymie zwierciadło Raźna, lśniące w promieniach słońca — drugie, małe jeziorko szkli się od strony południowej, dalej wzrok swobodnie unosi się ponad ciemne, sosnowe lasy, równe sznury poletek, aż ginie w błękitnej dali.

Szczyt wzgórza, płasko ścięty, stanowiący niegdyś wewnętrzny dziedziniec zamkowy, otoczony wałami, ma kształt czworokąta o dwóch bokach równoległych a dwóch nierównoległych. Długość boku północno-zachodniego oraz południowo-wschodniego wynosi



Plan i przecięcie Wolkenbergu. Rys. W. Neumann Dombaumeister w Rydze. (Mitth. aus d. livl. Gesch.).

po 62,8 metrów, podczas, gdy bok północno-wschodni liczy 52,7 m., zaś południowo-zachodni tylko 43,6 m. *).

Die „Oldenburgen im sog. polnischen Livland" von W. Neumann. Mitteilungen aus der livländischen Geschichte Band 14 Heft 3. Riga 1889.

Wzdłuż północno-zachodniej strony, gdzie, jak się rzekło, góra łagodnie spada, wznosi się potężny mur, którego grubość wynosi przeszło 3 m., wysokość około 6 m. Przeznaczeniem jego było bronić zamku od tej, najłatwiej dostępnej strony, gdy z innych stron góra dzięki naturalnej spadzistości, prawie niedostępna jest. Mur wzniesiony z kamienia polnego, z nieznaczną domieszką cegły, w dwuch kondygnacjach, wierzchnia kondygnacja węższa od dolnej mniej więcej o 30 cm. tworzy wzdłuż całego muru równy odstęp. Po obu swych końcach mur prostokątnie się załamuje i tworzy jak gdyby dwa wyskoki, po 10,67 m. długości.

Nie licząc wałów ziemnych, oto wszystko, co się przechowało, prawdopodobnie też nie było tu nigdy innych murów, dzięki bowiem wyjątkowej swej pozycji, Wolkenburg jest jedyną u nas ruiną, którą miejscowi wandale nie zdołali rozebrać na materjał budowlany. W szerokim promieniu nie widać tu bowiem ani dworu, ani miasteczka, zaś jedyna wioszczyna rybacka nad brzegiem Rażna posiada budowle wyłącznie drewniane. O ile zresztą potrzebowali chłopi kamienia, mieli go zawsze poddostatkiem na polach, daleko bliżej i wygodniej, niż na szczycie niedostępnej góry. Sondowano też w wielu miejscach grunt, nigdzie atoli nie natrafiono bodaj na ślad fundamentów, natomiast znajdywano w głębokości 1,5—1,8 m. pod powierzchnią części zwęglone prawdopodobnie drzewa jodłowego.

To wszystko zdaje się świadczyć niezawodnie, że budowle zamku były wyłącznie drewniane, otoczone prawdopodobnie ostrokołem drewnianym, który stanowił przedłużenie wyżej wspomnianego muru. Co się tyczy muru, zastępował on jedynie wał ochronny w najbardziej dostępnem dla nieprzyjaciela — a więc najniebezpieczniejszem miejscu; nie stanowił części jakiejś budowli, ani też jakiś budynek drewniany nie mógł bezpośrednio do tego muru przylegać, mimo bowiem dość znacznej wysokości, nie wykazuje ani śladu okien lub strzelnic, nie znajdujemy tu też charakterystycznych zagłębień na belki. Z końca muru, u samego podnóża, widnieje otwór, który zdaje się wgłąb prowadzić, mieszkańcy miejscowi utrzymują, że przed kilkudziesięciu laty chłopcy wiejscy włazić mogli z łatwością pod te mury, zdaje się atoli, że fantazja ludu nęcona tajemniczością świata podziemnego w tym wypadku, jak w wielu podobnych, główną gra rolę. Przypuszczenia niektórych archeologów, jakoby wzdłuż muru znajdowały się lochy i piwnice zasypane, uważamy za bezpodstawne, gdyż mimo bardzo su-

miennych poszukiwań, nie udało nam się odkryć ani śladu jakiegoś sklepienia. Niezrozumiały jest także dla nas cel jakiegoś lochu lub korytarza podziemnego, który prowadząc pod murem, niezmiernie-by go osłabił. Najbliższem prawdy wydaje się przypuszczenie, że otwór ów tajemniczy stopniowo został wydrążony przez miejscowych poszukiwaczów skarbów i dziś rzeczywiście przypomina wejście do jakichś tajemniczych podziemi, których drewniany kasztel prawdopodobnie wcale nie posiadał.

Natomiast w środku dawnego podwórza zamkowego widnieje otwór w kształcie lejka, mający u góry 10 m. w przecięciu, zwężający się ku dołowi, głębokość jego wynosi dziś zaledwo 1,5 m., przed wiekami jednak znacznie musiał być głębszy, była to widocznie studnia zamkowa lub zbiornik wody, dziś zasypany. Brzegi studni musiały być ocembrowane kamieniami, które jednak bądź to w głąb studni się osunęły, bądź też rozrzucone zostały w koło przez poszukiwaczów skarbów.

Całe płaskowzgórze otoczone rowem i wałem, który dziś jeszcze sięga 2,5 m. wysokości. Wał ten tworzy ze strony północno-zachodniej, gdzie spad góry jest bardzo nieznaczny w stosunku 1 : 8, obszerne półkole—dawne podzamcze.

Mniej więcej w środku tego wału, widzimy przerwę na 8 m. Prawdopodobnie musiała tu znajdować się brama, która prowadziła naprzód do podzamcza, stąd zaś wiodła droga okalając mur do wewnętrznego dziedzińca zamkowego. Wzdłuż wału, na jego szczycie ciągnęła się ściana kamienna, ułożona z potężnych głazów granitu, nie spojonych wapnem, być może przekładanych warstwami mchu, jak to się dotychczas praktykuje u miejscowych włościan. Głazy te z biegiem lat osunęły się ze szczytu wału, leżą dziś wzdłuż jego, po obu stronach, inne zaś wrosły w ziemię.

Tak przedstawia się oczom naszym dzisiaj zamek na Wolkenbergu. Zanim poruszymy dzieje tego ciekawego zabytku dalekiej przeszłości, chciałbym przytoczyć kilka podań miejscowych związanych z temi murami *).

Podług jednej z tych legend, przed laty cała ta okolica należała do wdowy po władcy na Wolkenbergu. Zmarła ona bez po-

*) Gustaw bar. Manteuffel „Wolkenberg w Inflantach", Bibljoteka Warszawska. Rok 1897, tom IV zeszyt 3.

tomstwa męzkiego i tylko pozostawiła trzy nadobne córy, pomiędzy które cała ta kraina rozdzielona została. W każdej z trzech posiadłości wzniósł się wspaniały zamek obronny, od imienia właścicielki nazwany. Najstarsza Róża otrzymała w dziale Rositen, dziś po polsku Rzeżyca. Druga imieniem Lucja — Lucyn, a najmłodsza Marja—Maryenhauz.

Słusznie uważa zasłużony badacz przeszłości Inflant, lingwista i archeolog pastor A. Bielenstein *), że podanie to późniejszego jest pochodzenia, wysnute sztucznie z przypadkowego brzmienia nazw. Ani bowiem Rzeżyca z Różą, ani Lucyn z Lucją nic wspólnego mieć nie mogą. Co się zaś tyczy Marjenhauzen — był to klasztor obronny, imienia N. P. M. Legenda niezawodnie jest pochodzenia niemieckiego, gdyż tylko w języku niemieckim odnajdujemy pewne pokrewieństwo brzmienia nazwy miasta „Rossiten“ i „Rose“, podczas, gdy po polsku „Rzeżyca“ — „Róża“, ani też po łotewsku „Rejzieknia“ — „Roża“ dalekiego nawet nie zdradzają podobieństwa.

Piszący te słowa zbierał również na miejscu podania gminne, nigdy jednak tej legendy z ust ludu nie słyszał, natomiast opowiadano mi inną, także o siostrach — olbrzymkach, które budowały zamki w Rzeżycy i Lucynie i wzajemnie sobie przerzucały młot murarski. (Odległość między Rzeżycą a Lucynem wynosi przeszło 20 wiorst).

W pogodne noce letnie, gdy spadają meteory, zataczając świetliste półkole, fantazja ludu do dziś dnia widzi w tym objawie atmosferycznym — zaczarowany młot kasztelanek, które za jakieś grzechy nocami pokutują śród ruin.

Podanie powyższe nie jest atoli wyłączną własnością ludu miejscowego, zdaje się ono być przywiązanem do wielu zamków w naszym kraju. Przynajmniej słyszałem bardzo podobne w Miednikach pod Wilnem, o olbrzymach, którzy, budując zamki w Miednikach i w Krewie, a posiadając tylko jeden młot, w ten sposób nawzajem go sobie użyczali.

Najbardziej rozpowszechnioną legendę ogłosił ksiądz Józef Macilewicz w wydanej w Wilnie w r. 1850 książce łotewskiej „Pawujciejszona un wysso di syosobi del ziemniku Łatwiszu“. W niej mowa o przebywającej w podziemiach Wolkenbergu zaczarowanej

*) „Baltische Monatschrift“, tom 29, str. 722.

dziewicy, oraz znajdujących się tam skarbach, strzeżonych przez dwa olbrzymie psy. Manteuffel, przytaczając to podanie, dodaje, że baśń tę opowiadają Łotysze nasi w okolicach bardzo wielu zamków inflanckich i kurlandzkich. Od siebie chcielibyśmy uzupełnić, że opowiadają ją nietylko Łotysze i nietylko w Inflantach, powtarza się ona w najrozmaitszych warjantach u wszystkich ludów i we wszystkich krajach, jest wspólną własnością rasy aryjskiej.

We wspomnianej powyżej pracy o Wolkenbergu G. Manteufell przytacza jeszcze jedną legendę, którą za najbardziej charakterystyczną uważa:

„Mówią ludziska — poucza nas to miejscowe podanie łotewskie — że raz w nocy, trzy w sąsiedztwie jeziora Raźna zamieszkałe czarownice, poleciały na górę wolkenberską, niesione przez potęgę zła. Z nich jedna siedziała na miotle, druga na łopacie, a trzecia na drewnianym tłuku od stępy. Na górze wypisały owe trzy wiedźmy na sążnistej skórze cyrograf, krwią niewinną świeżo zamordowanego dziecięcia, nad którem tak pastwiły się, a przez złość szatańską przyłożyły ohydną pieczęć do swego zdrożnego pisma, które na wieczne czasy do głębin jeziora wrzuciły. Skutkiem tego w nocy jezioro miało straszliwie szumieć i wydawać jęki, a owe czarownice tymczasem na górze Wolkenberskiej wyprawiały z djabłami harce“.

Wielce zasłużony monografista Inflant i gorący miłośnik ludu łotewskiego, G. bar. Manteuffel, przytoczywszy to podanie, zamieszcza następującą uwagę:

„Wspomnieliśmy już wyżej, że baśń o zaczarowanej dziewicy, o skarbach i strzegących je psach, opowiadają sobie Łotysze w okolicach wielu zamków Inflant tutejszych, a także Inflant szwedzkich i Kurlandji, tańce zaś djabłów z czarownicami, oraz dokument zaczarowany, przedstawiają wytwór fantazji Łotyszów polsko-inflanckich, z którym w innych częściach Łotwy nie spotykamy się już nigdzie“.

Nie mogłem sprawdzić, czy podobne podania znane są „w innych częściach Łotwy“, natomiast zaznaczyć wypada, że czarownice lecące na miotłach i łopatach na łysą górę, mordujące niewinne dzieci i wyprawiające z djabłami sprośne harce, to przecie motywy ogólnie znane, powtarzające się w niezliczonych podaniach średniowiecznych, a przeto żadnej wyłącznej własności miejscowego ludu łotewskiego nie stanowią.

Źródła historyczne do dziejów zamku Wolkenburskiego są niezmiernie skąpe i mgliste, większa część tego, co piszą współcześni jego monografiści, jest tylko hipotezą.

Pastor Bielenstein krytykując legendę o trzech siostrach Róży, Łucyi i Maryi, słusznie uważa, że na dnie fantastycznej powieści kryje się przecie ziarno prawdy historycznej, tem jest starszeństwo Wolkenburga w stosunku do pozostałych zamków polsko-inflanckich. („Jedoch ist als historyscher Kern das Verhältniss der Wolkenburg zu jenen andern drei Burgen als das der Metropolis zu den Filialen herauszuschälen“).

Hipotezą, aczkolwiek wielce prawdopodobną, jest, że w miejscu tem, przed najściem Niemców istniało pogańskie horodyszcze Z natury obronna pozycja wzgórza, jako też prymitywne fortyfikacje, nie zupełnie odpowiadające w charakterze późniejszym zamkom obronnym krzyżackim, zdają się wymownie za tem świadczyć.

Zakon rycerski, dotarłszy do tych kresów, po wypędzeniu tubylców z ich grodu, wzmocnił prawdopodobnie kamieniami wały, wzniósł może ów jedyny mur obronny, na prędce zbudowano z drzewa niezbędne budowle, takim sposobem powstała w tym kraju pierwsza niemiecka placówka. Na który rok przypada zdobycie horodyszcza pogańskiego i założenie tu komturyi zakonnej— żadnych zgoła wiadomości kroniki współczesne nie podają. Hipotezą przeto jest, że zdarzyć to się miało za ostatniego Mistrza Braci Mieczowych Wolkwina. Mnie osobiście domysł ten—aczkolwiek jest tylko domysłem — nader wydaje się trafnym. Mamy bowiem dowody niezbite, że po objęciu przez Wolkwina władzy nad Zakonem, panowanie jego, po kilku zwycięskich pochodach rozszerzyło się daleko na wschód. Potężna twierdza Krzyżborska powstała coprawda dopiero w 1237 r., to jest w rok po śmierci Wolkwina, możliwem przecie, a nawet prawdopodobnem jest, że zanim przystąpiono do budowy trwałych zamków, Zakon na swych forpocztach zadawalniać się musiał punktami obronnemi, na co służyć mogły z natury warowne horodyszcza pogańskie, naprędce przez Niemców na swój sposób wzmocnione. W takim kasztelu, acz drewnianym, załoga niemiecka mogła w ciągu wielu lat stawiać opór ciemnym hordom łotewskim, zanim wzmocniło się panowanie Zakonu.

Co jednak najbardziej zdaje się przemawiać za prawdopodobieństwem założenia komturyi Wolkenburskiej przez Wolkwina, to sama jej nazwa. Nazwa Wolkenberg, następnie przez Polaków na

Wolkimborg przemieniona, jest oczywiście pochodzenia niemieckiego, dotychczas przez lud nie używana, który miejscowość tę, jak wszystkie noszące ślady dawnych warowni, nazywa z białoruska „haradok“ (gorodok). Trudno przypuścić, aby Zakon, składający się z błędnych rycerzy i awanturników ze wszystkich krańców Europy, którzy niewątpliwie sporo świata widzieć musieli, zanim się w te dzikie zapuścili okolice, nazwać miał nieznaczny bądź co bądź pagórek przesadnem mianem „Góry obłoków“, czyli „Wolkenberg“. Najprawdopodobniej więc nadano tu staremu pogańskiemu horodyszczu nazwę jego domniemanego zdobywcy i założyciela komturyi — Wolkwina, którego inni znowu piszą Wolkin, czyli że kasztel ów nazywał się początkowo „Wolkwinburg“, lub „Wolkinburg“, czyli w średniowiecznej niemczyźnie „Wolkinborg“ skąd i polska nazwa „Wolkimborg“. Oczywiście, od zamku nadano następnie całej górze miano Wolkenberg. Zaznaczyć wypada, że w dawnej, średniowiecznej pisowni, zwłaszcza zaś na pieczęciach, często opuszczano niektóre samogłoski, a nawet spółgłoski, takim sposobem „Wolkebg“ oznaczać może zarówno „Wolkenburg“, jak „Wolkenberg“. W każdym bądź razie bliższem prawdy wydać się może, że góra zawdzięcza niemiecką swą nazwę niemieckiemu kasztelowi, który na jej szczycie wzniesiono, nie zaś vice-versa.

Jeżeli więc przypuścimy, że Wolkenburg otrzymał nazwę od swego zdobywcy Wolkwina, czas założenia tego pierwszego w Inflantach polskich kasztelu niemieckiego przypadać musi między rokiem 1210 a 1236-tym.

W roku 1210 bowiem ks. Włodzimierz połocki po utracie Kukenauzy i Gersike, wydając na łup Niemcom sprzymierzonych Łotyszów, zawiera z biskupem ryzkim Albrechtem pamiętny traktat, otwierający Zakonowi drogę do najdalszej ekspansji na wschód — w zamian za obietnicę płacenia pewnej daniny.

Na 1236 r., jak wiadomo, przypada śmierć Wolkwina.

Porzuciwszy obszerne pole domysłów, wstępujemy na ciasną ścieżynę faktów. Pierwszą wzmiankę o Wolkenburgu znajdujemy dopiero w 27 lat po śmierci Wolkwina. Jest to dokument datowany 10 września 1263 r. *). Wymieniony tu między innemi, jako świadek, niejakiś „Theodoricus, commendator de Wolkenborg“. Wiadomość ta bynajmniej nie zaprzecza hipotezie wcześniejszego założe-

*) Bunges Urkundenbuch I, 378.

nia Wolkenburgu. Dokument bowiem nie jest aktem fundacji tego zamku, stwierdza tylko ubocznie istnienie jego w r. 1263. W każdym bądź razie niezmiernie ważną jest wiadomość, że komendentura Wolkenburska istniała już conajmniej na 12 lat wcześniej od założenia Dynaburga.

Drugim niezbitym dowodem istnienia prastarej komturyi wolkenburskiej jest oryginalny dokument, datowany w Rydze dn. 27 sierpnia 1271 r. z czasów arcybiskupa ryskiego Alberta II de Suerbeer, oraz mistrza prowincjonalnego krzyżacko-inflanckiego Zakonu, Waltera de Nordecken, znajdujący się obecnie w ces. publ bibljotece w Petersburgu.

Dokument ten (treści obojętnej) pisany na pergaminie, opatrzony jest jedenastu przywieszonemi na pergaminowych paskach pieczęciami. W tej liczbie znajduje się też pieczęć komtura Wolkenburskiego, wyciśnięta na żółtym wosku.



Pieczęć komtura Wolkenburskiego z 1271 r.

Przedstawia ona szerokie męskie oblicze, wokoło napis — S. COMENDATORI WOLKEBG, (Sigillum Comendatori Wolkenburg).

Szczegółowy opis wszystkich wspomnianych jedenastu pieczęci, spisany w roku 1399 przez biskupa szlezwieckiego Jana, na oddzielnym kawałku pergaminu, do oryginalnego dokumentu został dołączony *).

Tam czytamy między innemi: „Sigillum tertium erat rotundum de cera, in cuius medio apparuit ymago cuiusdam viri a scapulis

*) P. v. Götze: Albert Suerbeer, Ertzbischof v. Preussen, Livland u. Estland 1854. G. Manteuffel „Inflanty polskie“, Poznań 1879 r., str. 30.

sursum seriosam ac latam faciem, nec non crispos crines ultra aures se protendentes, habentis. In cuius circumferentia legebantur haec literae: S. Commendatoris in Wolkenborch".

Jakkolwiek ogromne musiało być znaczenie w owych zamierzchłych czasach tej pierwszej niemieckiej placówki na kresach wschodnich, dzieje zamku Wolkenburskiego są krótkie, rola jego historyczna kończy się w r. 1276, gdy po zbudowaniu przez Mistrza Ernsta von Rasburg Dynaburgu tu przeniesiona zostaje komturja.

Odtąd znaczenie strategiczne zamku upada, przechodzi on wcześnie w ręce prywatne. W jakim mianowicie roku, tego źródła nie podają, w każdym bądź razie nie znajdujemy go już w spisach zamków zakonnych, które w 1559—60 r. wydane zostają Polakom.

Natomiast znajdujemy dość liczne wzmianki o „Wolkimborku", jako już dobrach prywatnych w lustracjach z końca XVI i XVII w. W r. 1582 należał on do młodej wdowy Magdaleny de Valckersham. Z rewizji inflanckich za czasów Stefana Batorego i Zygmunta III w latach 1584, 1590 i 1599 dokonanych, wiemy, że owa Magdalena de Valckersham połączyła się powtórnym związkiem małżeńskim z rycerzem Bernardem à Fursom i miała z nim syna Jana, który w r. 1598 odziedziczył Wolkimbork z przyległościami. Czytamy bowiem w rewizji z roku 1599 pod rubryką „Capitaneatus Rositensis:" „Nobilis Joannes a Fursom produxit Privilegium pergameneum Sigismundi III, qui restituit bona sua haereditaria Wolkimborg, Dustechl (dziś Duksztygał) Zibendorff (obecnie Andrepno) cum Arce vetustissima tempore belli moschovitici adempta" *).

Obecnie góra Wolkenberg wchodzi w skład dóbr Andrepno, które to dobra od końca XVII do XIX w. należały do inflanckiej gałęzi rodu Sołtanów i dopiero przez Marszałka W. Ks. L. Stanisława sprzedane zostały Szadurskim, od których przeszły na własność Benisławskich **).

Jakkolwiek stare rewizje wspominają najwyraźniej „arx Wolkimbork", t. j. zamek Wolkimborski, pewnem atoli jest, że sama warownia od czasów jeszcze krzyżackich stała pustką, dwór

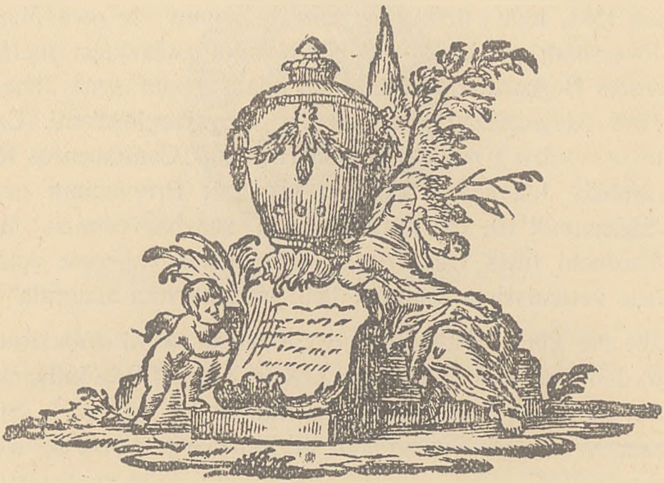
*) Oryginalny rękopis rewizji przechowuje się w archiwum inflandskiej Izby rycerskiej.

**) G. Manteuffel „Wolkenberg w Inflantach". Bibljoteka Warszawska 1897, t. IV zesz. 3, str. 541.

i folwark, gdzieś opodal mieścić się musiały, gdyż niedostępna pozycja wzgórza czyni je niemożliwem dla mieszkania w czasie pokoju. Zresztą nie znajdujemy na górze prócz odwiecznego muru i wałów, żadnych śladów późniejszych budowli mieszkalnych lub gospodarskich.

Jest to jedyny zabytek odległej epoki, który przechował się do naszych dni nie tknięty prawie ręką ludzką, podległy tylko działaniom atmosfery i niszczącym wpływom wszechpotężnego czasu.

Jan Obst.



Sylwetki.

Ostatni żołnierz-romantyk.

Deszcz ustał. Srebrne ruczajki pieniąc się i burząc płynęły wzdłuż kolein drogi, to znowu szerokie, mętne tworzyły kałuże. Ziemia przepojona nieustanną szarugą, rozmokła, nie wstanie wchłonąć nadmiaru wilgoci. Woda rozlała się po jej powierzchni i melancholijnem, załzawionem okiem spoglądała ku niebu, a zali nie wyjrzy słońce i swym płomiennym całusem powoła do siebie, na żywot górny. A tam wiatr — przezorny gospodarz, zaganiał przed wieczorem swój dobytek: chmury, niby stadko wełnistych baranków posłuszne jego skinieniom biegły gościńcem niebieskim; prowodyr na czele; przystanął; skupiły się, skłębiły, z baranka smok okrutny, szczerzy paszczą najeżoną lasem zębów, ogonem kręgi zatacza, wiatr dmuchnął potężnie, ohydny jaszczur wyciąga się, ucieka, wyrastają mu skrzydła; na niebie ukazuje się okręt-widmo, płynie wolno, cały w blaskach wieczoru, czerwonym ogniem płoną żagle jego i maszty.

Wyjrzało słońce i ostatnie, skośne promienie rzuciło na ziemię, ozłociło pola i lasy, wierzchołki gór, szeroki gościniec, co z Wilna do Ponar prowadzi i opuszczoną, przydrożną kapliczkę.

U drzwi kaplicy, nawpół leżący, nieruchomy, osunął się jakiś wędrowiec. Otulony w burkę przemokłą, czapka opadła mu z głowy, odsłaniając kędziory bujnych, czarnych jak heban włosów, twarz młoda, trupio blada, oczy miał przymknięte.

Czy się tak pogrążył w modlitwie? Czy zemdlał? Tylko dreszcz, który od czasu do czasu wstrząsał całą skuloną postacią,

zdawał się świadczyć, że dusza nie wyszła jeszcze z tego znękanego ciała.

Zmierzch szary spływał na ziemię, siwe opary ponad łąki i pola chwiejąc się zdawały się łączyć w olbrzymi, zaczarowany korowód. Gościńcem biegło dziewczę wiejskie. Widać pilno jej było do chaty, do swoich, gdyż chusteczka zsunęła się jej na tył głowy. Trzewiki przezornie miała przewieszone przez plecy, pod bosemi stopami chlupotała woda. Zrównawszy się z kapliczką przystanęła na chwilkę, robiąc znak krzyża, gdy wtem podniósł się z ziemi ów nieznajomy wędrowiec. Przerażona krzyknęła i chciała uciekać, lecz tamten przyzywał ją łagodnym słowem i gestem. Zbliżyła się trwożliwie:

— Skąd jesteś, dziecko?

Wskazała palcem:

— Ot, niedaleczko z tej wioski.

— Kto twój ojciec?

— Szewc, Panie, buty szyje.

— Macie własną chatę?

— I chatę i ogrodu kawał.

— A spokojnie tam u was? Niema żołnierzy, kozaków?

— Byli cości przed tygodniem — poszli, teraz spokojnie, niema nijakich żołnierzy.

— Więc prowadź mię do ojca.

Poszli. Noc ciemne opony spuściła nad ziemią uśpioną.

*

W chacie ubogiego szewca żarzyło się łuczywo, wetknięte w szparę ścienną, węgielki kurcząc się upadały od czasu do czasu z cichym szelestem. W koło stołu siedziała cała rodzina, dymiła misa z kapuśniakiem. Dziatwa na wyścigi walczyła ochoczo łyżkami, ojciec krótkim, szewieckim nożem krajał kromki chleba razowego. Tylko matka niespokojnie jakoś wyglądała przez okno, to znowu zdawała się przysłuchiwać monotonnej pieśni deszczu, który, po krótkiej przerwie, na nowo począł mżyć.

Dały się słyszeć kroki.

— To pewno Agatka, czekaj, nauczę cię do ciemnej nocki gdzieś siedzieć poza domem.

Skrzypnęły drzwi, obok wylęknionej Agatki ukazała się postać nieznajomego młodzieńca. Czapkę barankową miał głęboko

nasuniętą na czoło, z burki strumieniami ściekała woda, miał pas skórzany a z za pasa wyglądała głównia pistoleta.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków...

Szewc zerwał się z ławy i pełen zdziwienia i przestrachu zbliżał się do przybysza. Nie zdążył jednak wyrzec słowa, gdy tamten utkwił weń swe oczy duże, czarne i głosem przytłumionym, lecz pewnym spytał nagle:

— Człowiecze! A wierzysz ty w Najświętszą Pannę Ostrobramską?

Szewc cofnął się wylękniony, robiąc znak Krzyża.

— W imię Ojca i Syna... co też Pan mówisz, czy to ja żyd, czy poganin?

— A więc... jeżeli wieżysz... przez miłość tej Matki naszej... ratuj!

Szewc bezradnie rozwiódł ramiona. W tem jednak spostrzegł, że przybysz się chwieje, więc wsparł go silnie, i usadził na ławie, a widząc jak ten zgłodniałem okiem zdawał się pochłaniać reszty skromnej wieczerzy: „Babo!“ rzecze, lecz kobiecina, zdjąwszy z policy czystą misę, już z kociołka lała wonny kapuśniak, wyławiając kostki słoniny. Młodzieniec rzucił się do strawy łapczywie, lecz jak to bywa po długim głodzie, przełknąwszy coś niecoś, odłożył łyżkę. Gorący pokarm wywarł jednak swój wpływ dobroczynny, gdyż słaby rumieniec wystąpił na smugłe policzki przybysza. Szewc tymczasem, widać nie w ciemię bity, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, począł kombinować, potem otworzył malowaną skrzynię, cości tam szukał, nareszcie wydobył chłopski przyodziewek.

— A teraz trzeba się przebrać... Broń Chryste takby Pana ujrzeli... i to trzeba schować...

Wskazał na pistolet.

— A przedewszystkiem, bracie, pomóż mi zrzucić te buty... od paru tygodni nie zdejmowałem.

Szewc wprawnie i ostrożnie wziął się do rzeczy, ledwo jednak dotknął się nogi, młodzieniec syknął z bólu.

— Nie dasz tak rady, bierz nóż i tnij cholewy.

Lecz w szewcu obudziła się żyłka profesjonalna, długo macał skórę, przyglądał się:

— Szkoda, Panie... jeszcze cale dobre. I znowu począł próbować. Tamten głośniej jeszcze jęknął. Wtedy szewc zrezygnowawszy poskrobał się za uchem i wziął się do noża.

Gdy zdjęto buty, okazały się nogi nabrzękłe, czerwone, z których miejscami pozłaziła skóra i gołe świeciło mięso. Owinięto je czystem płótnem, młodzieniec przebrał się w świtkę wieśniaczą, która dziwnie odbijała od jego szlachetnej twarzy, wyrazistych rysów, na pierwszy rzut oka zdradzających południowca. Gospodarz zmierzył go od stóp do głowy i jakby niezadowolony ze swego dzieła, machnął ręką:

— Co Bóg da... a teraz leź pan na piec i prześpij się, to jutro pogadamy...

Niebawem rozległo się jednomyślne chrapanie, ciemność objęła ubogą chatę, tylko kilka węgielków w popiele złowrogo mrugało.

*

Tam, gdzie dziś się wznoszą kamienice ulicy Świętojerskiej, przed półwiekiem stały śród ogrodów i pustych placów gdzie niegdzie rozrzucone, podmiejskie dworki drewniane, nad całą tą okolicą, górując panowały strzeliste mury kościoła św. Jakóba.

Noc była. Miasto łez i niedoli usnęło tym ciężkim snem skazańców, pełnym widm dręczących co wypijają krew z piersi. A może tylko udawało, że śpi. Przez szpary szczelnie zamkniętych okiennic gdzieniegdzie zdradziecki przekradał się promyk. Tam wewnątrz, wkoło lampy siedziały niewiasty, trawiąc na modłach późne godziny nocy, wzywając pomocy Tej, co sercem przebitym mieczami boleści, rozumie ból matek ziemskich, opłakujących synów. Tłumione westchnienia od czasu do czasu przerywają monotonne słowa litanji: „Módl się za nami“.

Nie spano też w dworku pochyłym, a raczej chatce, co na uboczu, śród ogródku warzywnego, niedaleko Łukiszek, tuliła się do rozrosłego kasztanu. Właścicielka tej rudery, kobiecina starsza już, lecz krzepka, pochylona nad książką, odmawiała modlitwy, gdy ręce jej zajęte były jakąś robótką. Wiatr szemrał zcicha w gałęziach drzewa, zawodził w kominie, wstrząsał od czasu do czasu okienicami, jak gdyby prosząc, by go wpuszczono—tam tak pusto, tak strasznie na dworze... i noc tak ciemna, jak grób. Lampa rozbłysła, szeroko rzucając krąg świetlisty i przygasła nagle. Wiatr gwałtowniej szarpnął okiennicą i umilkł. Czy wiatr to, czy może spóźniony

przechodzień? Kobieta odryglowała drzwi, wyjrzy na podwórze— wkoło pustka i ciemność. Przytulony do ściany, niewidzialny prawie śród mroku, stał jakiś nieznajomy. Palcem uczynił znak milczenia i nie pytając wszedł do wnętrza. Ledwo ujrzała go przy świetle, snać poznała odrazu, mimo chłopskiego przebrania, krzyk radości i trwogi wyrwał się z jej piersi i zawisła na szyi młodzieńca.

— Elwirku mój! złoty paniczu!

Przybysz, chociaż widocznie rozrzewniony, niecierpliwym gestem przytłumił ten głośny wybuch uczucia. Usiedli w najskrytszym zakątku izdebki, kędy nie mogło przeniknąć oko szpiegujące i długo szeptem się naradzali. W końcu kobieta, nakarmiwszy swego pupila, zapaliła latarkę, starannie ją osłaniając, by żaden promyk nazewnątrz się nie wydostał, i tak w półmroku po stromej drabince wyszli na strych. Długo oglądali się, szukając jakiejś skrytki, wreszcie znaleźli. Niezbyt to było dogodne miejsce: za niskie, by stać, za krótkie, by się położyć, względnie jednak bezpieczne. Duchem usłała tu pościel, wzdychając ciężko, za parę chwil nasz nieznajomy młodzieniec, wyczerpany widocznie przejściami dni ostatnich, usnął snem kamiennym.

Nad ranem zbudziło go głuche warczenie bębnów i odgłos miarowy licznych kroków. Wyjrzy przez szpary desek, aliści ulicą szło wojsko, bagnety połyskiwały w niepewnych blaskach budzącego się dnia. W środku, na wózku, otoczonym podwójnym kordonem straży, jechał mąż jakiś, twarzy jego nie można było rozpoznać, gdyż zasłaniała go postać siedzącego obok siwowłosego kapłana. Cały ten złowrogi pochód kierował się w stronę Łukiszek. Atoli deski podszycia, osłaniając szczelnie skrytkę, dobroczynnie zasłaniały dalszy horyzont.

Mijały dnie. Minął tydzień, drugi. Właścicielka ruderki czas cały spędzała gdzieś poza domem, wcześnie wychodziła, wracała późno. Aż razu pewnego wróciwszy z twarzą rozjaśnioną zapukała gorączkowo do owej skrytki, by za chwilę wręczyć młodzieńcowi arkusik papieru; tamten rzucił okiem, rumieniec nadziei okrasił mu lice: był to paszport na imię sowietnika Iwana Iwanowicza Siergiejewa na przejazd do Petersburga, tak zręcznie sfabrykowany, że najwprawniejsze oko żandarma nie potrafiłoby odkryć fałszu.

*

Był wczesny ranek, pustą jeszcze ulicą Zamkową szedł malarz W. Dmochowski, gdy niespodzianie oko jego zatrzymało się na

dużym plakacie, świeżo przez policjanta przytwierdzonym do muru w pobliżu kościoła św. Jana. Ogłoszenie było rządowe, 500 rubli obiecywano nagrody temu, kto w ręce władzy wyda powstańca Elviro Andriollego. Jakkolwiek ogłoszenia podobne w tym czasie nie były rzadkością, nazwisko poszukiwanego do głębi przejęło przechodnia. Andriolli był jego kolegą: w pracowni malarskiej, na polu bitwy, w zacisznych salonikach wiejskich, na krótkotrwałych popasach. Kolegą i... rywalem szczęśliwym. Obdarzony niezwykłym talentem i bajeczną wprost łatwością w tworzeniu, śmiały do zuchwałości, piękny jak Apollon, z kipiącą krwią południowca, na każdem polu z łatwością mógł pokonać flegmatycznego nieco Litwina, z rudym wąsem i twarzą, jak gdyby na grubo z drzewa wyciosaną.

Dziś jednak role się zmieniły. Dmochowski, widząc upadek powstania i beznadziejność dalszej walki, umiał się w porę wycofać, zręcznie zatarłszy za sobą ślady. Był wolny i w bezpieczeństwie, gdy na tamtego głowę wyznaczano oto nagrody. U zacnego Litwina zmiękło na tę myśl poczciwe serce, jak wosk, zapominając dawnej urazy, łamał głowę, jakby tu ostrzedz, jak pomódz koledze. Z zadumy zbudził go nagły turkot pędzącej dorożki. W dorożce siedział z walizką nikt inny, jeno... Andriolli, pełen fantazji, z kapeluszem zuchowato naciśniętym na czarne kędziory. Ujrzawszy przyjaciela, skinął mu głową nieznacznie, uśmiechnął się z pod wąsa i palec położył na ustach. Dmochowski stał czas niejakiś jak przykuty, potem raptem puścił się w ślad, ile siły stało w nogach, by w razie niebezpieczeństwa podać dłoń pomocną. Widział, jak dorożka mimo Ratusza zwróciła w ulicę Ostrobramską, krokiem minęli Ostrą Bramę, tu woźnica znowu zaciął konia, błotnistą drogą, śród szczerego pola, kierując się w stronę dworca kolejowego. Ledwo stanęli, pasażer wyskoczył lekko, wręczył tragarzowi walizkę, dyżurującym żandarmom niedbale rzucił paszport, ci, przejrzawszy skrupulatnie, salutując rozstąpili się. Za chwilę siedział już wygodnie w przedziale wagonu, otoczony wonnym obłoczkiem z drogiego cygara. Jęknął dzwonek, świst przeraźliwy rozdarł powietrze, lokomotywa buchnęła kłębami czarnego dymu, poczem powoli najprzód, potem coraz prędzej potoczył się wąż wagonów w stronę północy.

*

W Petersburgu Andriolli z łatwością potrafił wyjednać sobie paszport — oczywiście także na cudze imię, poczem przez Finlandję przemknął się zagranicę.

*

Minęło lat sporo.

Czas, wielki lekarz, a może tylko wielki szarlatan, zasklepił rany, choć nie zagoił. W wileńskim salonie pani X, pełnym wspomnień, portretów i świętych relikwji z nie tak dawnej i żywej wciąż przeszłości, zebrało się gronko młodzieży literackiej i artystycznej. Dysputowano żywo, sprzeczano się i godzono, jak to bywa, gdy serca młode a pełne wiary i miłości ideału. Niespodzianie drzwi się otworzyły, w progu ukazał się — Andriolli. Wszyscy, co go znali, rzucili się witać mistrza. On zaś z czcią wielką i niezrównaną kurtuazją, przypominającą żywo czasy drugiego imperjum, powitawszy panią domu, usiadł w gronie młodzieży i pełen zapału rozpoczął niezwykłą swą opowieść:

Czując zbliżającą się starość, raz jeszcze, choć na czas krótki, zapragnął dawnemi odżyć wspomnieniami, zwiedzić te miejsca, tak drogie sercu, gdzie się niegdyś kochało, marzyło, walczyło i cierpiało. Chciał je ujrzeć — nie z okien pociągu, nie w powozie, lecz jak to dawniej bywało... po kawalersku. Nabywa dwóch dzielnych wierzchowców, bierze z sobą pachołka i tak — po staropolsku, puszcza się w drogę. Zmierzył Litwę wzdłuż i wszerz, zwiedził te lasy, gdzie się formowały partje, modlił się na polach bitew, zajeżdżał do tych dworków, gdzie niegdyś sercem wylanem witano młodzież powstańczą, gdzie stare wino w piwniczkach, a krew młoda w żyłach, gdzie zawiesiste, siwe wąsy, gdzie perkalowe sukienki i kraśne jak mak buziaki, gdzie tak uczciwie kochano i tak ogniście tańczono mazura... choć śmierć zdradziecka czyhała za oknem. Dziś lasy wycięte, mogiły zrównane z ziemią, we dworkach obcy ludzie, nawet ci swoi, najbliżsi rodacy, czy zapomnieli, czy nie chcą pamiętać, czy umysł ich za słaby, serce jałowe, by pojąć i odczuć niedawnej przeszłości krwawe dzieje, ze zdziwieniem, przestrachem lub drwiącym uśmiechu witali żołnierza-romantyka.

Andriolli dni kilka zabawił w Wilnie. Osunął się w tym czasie, ogień, rozniecony wspomnieniami, przygasł w sercu i w źrenicach. Postarzał. Konie z pachołkiem zostały wysłane, on wracać miał... koleją.

Na dworcu zebrała się garść przyjaciół, by pożegnać mistrza, on ściskał wszystkich, chwilami niby przebłysk minionych czasów górę brała dawna fantazja i humor, to znowu ogarniało go rozrzewnienie, które napróżno starał się maskować.

W końcu, wziąwszy na stronę jednego z bliższych przyjaciół, wręczył mu znaczniejszą kwotę pieniędzy z prośbą: „Wyrządź mi tę braterską usługę: na Łukiszkach mieszka staruszka... niegdyś piastunka moja, u której w chwili największego niebezpieczeństwa, gdy na moją głowę wyznaczona była nagroda, znalazłem przytułek i poratowanie. Od tej pory co roku wysyłam jej drobną zapomogę, nie wiem, czy długo będę jeszcze w stanie... więc, dla pewności, wręcz jej to w mojem imieniu, i powiedz... a raczej nic nie mów, zwłaszcza, że byłem w Wilnie. Bo uważasz: zwiedziłem wszystkie te drogie miejsca, modliłem się na wszystkich grobach, zlałem łzami wszystkie nasze święte pamiątki, miałem i tam być, u niej, nawet był to mój obowiązek, lecz czuję, że to by przeszło siły moje... lecz dość o tem, a teraz żegnajcie mi najdrożsi moi i... jeszcze, jednego, strzemiennego!..“

Przeczucie nie zawiodło mistrza — sędziwa piastunka przeżyła swego pupila... na parę tygodni. **J. O.**

SILVA RERUM.

Orędzie litewskie, wzywające ks. Sanguszków na sejm litewski 1564 r.

Książęta litewscy, podobnie jak i panowie chorągiewni, używali na Litwie przywileju imunitetu i jak mówiono na Litwie „nie siedzieli w powiatach". Wszyscy więc p.p. Ostikowie, Kieżgajłowie, Sapiehowie lub książęta Gedrojcie, Czartoryscy, Zbarascy, Wiszniowieccy, Słuccy, Prońscy etc. byli wyjęci z pod sądownictwa powiatowego i mający z nimi sprawę szlachcic musiał ich pozywać przed sąd hospodarski senatu litewskiego, lub sejmowy. W terytorjach swoich mieli własnych bojarów, własną szlachtę, wykonywali jurysdykcję nad nią, słowem mieli „ius ducale". Jako tacy używali też przywileju, iż Kancelarja wielkoksiążęca zawiadamiała ich „osobiście" o zarządzeniach fiskalnych, wojskowych i t. p. i że im osobiście dostawiano zaproszenia na sejm. „Osobiście"—ma się tak rozumieć, że jeden z sekretarzy kancelaryjnych dostarczał osobiście głowie rodziny całej pismo wielkoksiążęce, ta zaś już prywatnie zawiadamiała członków rodziny. To też i orędzie króla datowane z Warszawy 7 kwietnia 1564, wzywające na sejm walny litewski do Bielska, dostarczone było księciu Romanowi Sanguszce, staroście żytomierskiemu, osobiście, ale adresowane było jak wszystkie podobne orędzia do wszystkich książąt Sanguszków. Tyle co do tytułu i adresu orędzia, które niżej podajemy. Jest ono wcale różnem od orędzia z tejże daty i także do wszystkich Sanguszków adresowanego a wydrukowanego w siódmym tomie Archiwum ks. Sanguszków w Sławucie na str. 80, dlatego też je podajemy w dosłownem brzmieniu według odpisu przed laty w Sławucie sporządzonego.

Obydwoma orędziami wzywał król Sanguszków na sejm w Bielsku odbyć się mający, a były to sejmy ważne, w których odbywały się obrady nad uniją, zakończone, jak wiadomo aktem lubelskim

1569 r. Rozchodzi się pytanie, dlaczego do ks. Romana dwa różne orędzia z zaproszeniem na sejm wysłano? Odczytując drukowane w Archiwum orędzie widzimy, że położono tam nacisk na wojnę moskiewską i potrzebę dalszego pogotowia do tej wojny, by adresat pozostawiwszy w wojsku zastępców na sejm zjechał, a bezpośrednio po sejmie, nie jadąc do domu, wprost udał się na wojnę. Jest to więc zawiadomienie do oficera wojennego, który ze swym teściem Grzegorzem Chodkiewiczem ważne w wojsku zajmował stanowisko. Dlatego to położono w orędzie nacisk dotyczący wojska litewskiego, mianowicie, aby wszyscy ci, którzy na wojnie zeszłego roku osobiście nie byli, w bitwach udziału nie brali, pocztów nie wysyłali, stanęli na 23 kwietnia w Miadziole zbrojno, skąd wyruszą tam, gdzie król nakaże. Ukaranie zaś winnych statutowe, zostawujemy przywoli i łasce naszej, ale ci, którzy się w Miadziole na terminie oznaczonym nie stawią, niech się nie spodziewają naszej łaski. O sejmie Bielskim zaledwie tutaj jest wzmianka.

Natomiast w orędziu poniższym jest nacisk położony na sejm a i sprawy wojenne, bardzo dla Litwy podówczas ważne, są dla tej przyczyny poruszone, że mają być na sejmie traktowane. Dowiadujemy się, że miano na sejmie w Bielsku obmyślić, aby ci, co od lat siedmiu, t. j. od czasu wojny inflanckiej nie czynią zadość powinności wojennej, nie uszli kary. Dlatego rozkazał król wojewodom i starostom, aby wespół z chorążymi, lub, gdzieby chorążych nie było, z swymi urzędnikami popisali szlachtę, tak „dzielną, jakoteż niedzielną" i by regestra na sejm przywieźli, że król, wziąwszy od hetmana wiadomość o posłusznych i o ociągających się od służby wojennej, na przyszłość złemu zapobiedz, uchwali razem ze stanami środki, bo prawie połowa szlachty na wojnę nie zjechała, a ze Żmudzi, z Wołynia i Podlasia najmitami wojnę tę odprawiono. W końcu nadmienia też król o potrzebie nowego statutu i wzywa do przyjazdu na sejm z poprawkami i życzeniami zmiany, a król zastanowiwszy się nad niemi ze stanami i przywileje od siebie i od przodków nadane każe włożyć w statut i poprawiony wydrukować.

Z porównania treści obydwóch orędzi wynika, że, gdy w pierwszem miano na względzie charakter wojskowy i ks. Romana Sanguszki i członków jego rodziny bardziej aniżeli senatorski, w drugiem natomiast orędziu odwrotnie, położono nacisk na charakter senatorski książąt. Oba akty są stylizowane przez osobę wtajemniczoną w arkanę polityki królewskiej, w obydwóch przygania król szlachcie, która jednakowoż do unji dążyła, podczas, gdy magnaci i książęta wcale sobie jej nie życzyli, nie radzi pozbywania się swego przywilejowanego stanowiska. Na sejmie też w Bielsku przyszło do starcia się obozu szlacheckiego z magnatami i książętami. Ci drudzy odrzucili wprawdzie propozycje polskie, poparte przez szlachtę litewską w sprawie unji, natomiast widząc, że statut litewski w drugiej redakcji niechybnie będzie sankcjonowany, dobrowolnie zrzekli się i swej ju-

ryzdykcji i wszystkich z niej płynących pożytków, jakie im na podstawie pierwszego statutu przysługiwały. Jak wiadomo z zaprowadzeniem sądów powiatowych elekcyjnych na wzór polski, upadły i prerogatywy panów chorągiewnych i książąt litewskich, datujące się jeszcze z czasów pogańskich, kiedyto system feudalny był wiązadłem, podporą i siłą państwa litewskiego. Z chwilą unji lubelskiej oczywiście zaprzestano pisać do panów chorągiewnych i do książąt osobiste okólniki, jakich wzorem i ciekawym zabytkiem jest tutaj przytoczony.

Żygimont Awhust Bożju miłostju korol Polskij, wielikij kniaź Litowskij, Ruskij, Pruskij, Żomojckij, Mazowieckij, Liflantskij i inych.

Ko wsim Kniazem Sanguszkowiczom. Wiedomo jest, nie odno ich miłosti panom radam naszym wielikoho kniazstwa Litowskoho, ale wam wsiemu rycerstwu i wsim obowatelem ziemli panstwa naszoho wielikoho kniazstwa, że pod każdym czasom potreb onoho panstwa rozno tam po wsi prosziyje leta panowanja naszoho prypadłych, nieomieszkiwaliśmy nikoli podle zwykłosti i należnosti naszoje prystojnoje zwłaszcza osobliwie z miłosti i chuti nielitujuczy nie odno pracy, ale nieszanujuczy zdorowja, czasto i w nie sposobnom bywajuczy, obmyszlati i stanowiti o wsiem dobrom spokojnom i pożytocznom toho panstwa, niespominajuczy uczinnostej prykładow do toho a utraty majetnostej naszych. A jestliż to czinilismy pod czasom nie tak niebezpiecznym, jako na seś czas za woleju Bożeju i za wziatjem Połocka pryszło, i jeszcze za złym umysłom tohoż wiecznoho nieprjatiela naszoho Moskowskoho zawisło, tym bolej z nabolszym usiłowanjem teper, koli toho gwałtownaja potreba bezpierestani starati i obmyszlati nieustawajuczy a znajuczy i dobre baczeczy, że w takich reczach i sprawach pry łasce i pomoczy Bożoj a osobliwie z poczatku kotoryj dobre uważonyj do słusznoho konca wiediet, niszto inoho jako mudraja a stateczna ja rada z namysłom pilnym i pozwolenjem a udałoju tych komu to należyt na pożyteczniejszaja i nazdorowszaja jest. A proto gdy o wsich idet a bez wsich też, to i bez sojmu sprawowano i stanowieno byti nie możet, widieło sia nam dla wyszej pomienionych priczyn i dla wynajdienja sposobu ku oboronie bolszoj w reczach zaczatych wczom zwolenje i prośba knam wsich stanow wielikoho kniazstwa była i wola nasza do toho pripustiła złożiti sejm wielikom Kniazstwie Litowskom, o czom jeśmo wżo piered sim do panow rad naszych ich miłosti listy naszymi oznajmujuczy i zdanie ich miłosti około toho mieti chotieczy pisali.

Jakoż składajem tot sejm walnyj i tomu rok pewnyj na dień swietocznyj to jest: zosłanje swiatoho ducha u niedielu, po ruski nazywajuczi swiato siodmuju subotu w roku nyniesznem szest'diesiat czetwiertom a miestce zbiranju i sejmowanju a skonczenju jeho u Bielsku. A i ot niepryjatiela niebezpiecznost' jest granicam panstw naszych jako w czas walecznyj i aby pod tym sojmowanjem niepryjatiel nie wtorgnuł i szkody kotoroje niewczynił, gdyż

wsi stany predniejszyje poczawszy ot ich miłosti panow rad naszych, kniaziej, panow wojewod i starost ukrainych, wradnikow ziemskich i dwornych i choruzych, bytnostju swojeju sojmu należat' i tychże zasie i k wojnie potreba s toje pryczyny uważajuczy i wojnu i sejm prykładati musim i widim, że pilniej nadobie sojmu, s czoho to wam na sojmie oznamieno budiet. Wiedże i wojennaja potreba dla lepszoje piecznosti, aby sojmom niezahorożała opatrywajuczy toje oboje, sztoby jestie na tot rok i na miestce naznaczonoje sami knam wlehce na tot sejm wodle starodawnaho wojennaho na miestce i czas w niem naznaczonyj posłali, niczym toho roku nieomieszkiwajuczy a miestca swoi ku wojnie kotoryj z was na sejm pojedut zastawiti i zlecyti maje czołowiekom dobrym, rostropnym i jeho na posłuhu ziemskuju posłati, aby wymowka nikotoraja i ubliżenje sprawoju sojmowoju wojnie i potrebie ziemskoj nie diejało i niestałosie, bo pewniśmy toho, że tot sejm za łoskoju Bożoju rychło i dobresia dokonczat', a z sojmu prosto każdyj do pocztu a chorużyje do powietow i słuh swoich pryjechawszy protiw nieprыjatielewi to czyniti budiem, szto Pan Boh z miłosierdja swojeho swiatoho i za sprawiedliwostju naszoju zyczyti i sprawiti raczyt. Prytom widieczy też toho byti potrebu a nabolej za spłoszenstwom niekotorych mnohich ku służbie ziemskoj wojennoj, i aby w piered za tymi potrebami ziemskimi o mieszkanie i szkoda niediejała sie, ku oboronie sposob bolszyj byti moh i powinnost' w tom ludskaja niezaniechiwana, i chto toj po proszłyje leta, jako wojennyje potreby ot siemi let nastali dosyt' nieczynili biez karania niewwoszli mieży chutliwymi i pospiesznymi nieuleżali, a niemniej tyje, chto udale sojmu proszłoho Wilenskoho leta sieho minułoho około służby ziemskoje dosyt' nieudiełal, dla toho roskozali jeśmo w powietiech Panom wojewodam w zamkach i dworech i wołostiach naszych wojewodskich a starostam i dierżawcam w starostwach i dzierżawach ich, aby oni pospoł s chorużymi a hdie by chorużych nie było, ino wradnikom swoim wsiu szlachtu dielnuju i też niedielnuju mienowitie spisati na reistra kazali i tyje reistra na sejm pryniesti i tam na to miestce, hdie w on czas wola nasza budiet otdati wieleli. A my stoho popisu wyrozumiewszy z ich miłostju pany radami naszymi także i z inymi stany sojmu należaczymi obmowiwszy a od pana hetmana wielikoho posłusznych i pospiesznych wojnie wiedomost' wziawszy, wczynim s tym to szto budiet słusznoho i hodnogo, bo za pewnuju toho wiedomost' majem, sztosz mało nie połowica szlachty na wojnu niedawno minułoju nie jechali, a nikotoryje najmitami swoimi to otprawowali, sami doma zostawszy, zwłaszcza w Żomojti, na Podlaszy i na Wołyni. I konieczno niebyłoby sprawiedliwie, aby sija to im bez karania statutowoho i na sojmie ufalonoho propieczi i minuti mieło. K tomu i toho potreba, aby statut nowyj kotoryj z łaskawoho i tych że za sie i k wojnie potreba, pozwolenja naszoho wsim ziemlam wielikoho kniazstwa ku słusznomu poradku i rosprawie spra-

wiedliwosti swiatoje jako ludiem chrestjanskim a wolnym zobranyj zo wsich praw chrestjanskich i wodle potreby szto było z lepszym sprawien i na proszłom sojmie Wilenskom leta minułoho wsim stanom na prezrenie i poprawu tak jakosia ich miłosti panom radam naszym z obmow z nami społecznych widieło dan jako pamietajem czerez ruki wradnikow dwornych; a tak w kohoszkolwiek jest onyj statut i chtoby szto potrebnoho jeszcze z siebie wynaszoł, poprawił albo przyłożył, do toho niechajby na tiepiereszny sejm prynieśli i okazali, a my z ich miłostju pany radami naszymi i wsimi stany sojmu należaczymi pilnie whlanuwszy w nieho i wodle potreb i zwolenia i ku lepszomu wsich prywiedszy i dokonawszy jeho, włożywszy tam prywilja a wolnosti nadanyje ot prodków naszych i ot nas hospodarej waszych i hdzie by była potreba s szczodrobliwoje dobroty naszoje i prysporywszy ich w druku wytisnuti i ku sprawowanju i używanju wsim ziemlam i obowatelem wielikoho kniazstwa wydati roskażem. Pisan u Warszawie leta bożeho narożenia tysiecza piat sot szestdiesiat czetwiertoho, miesieca aprela 7 dnia.

(L. S.)

Jan Hanko pisar

podał A. P—ska.

Krzyże litewskie.

Nakładem litewskiego Tow. Sztuk Pięknych wyszedł album Kryżów litewskich, obejmujący bez mała sto rysunków.

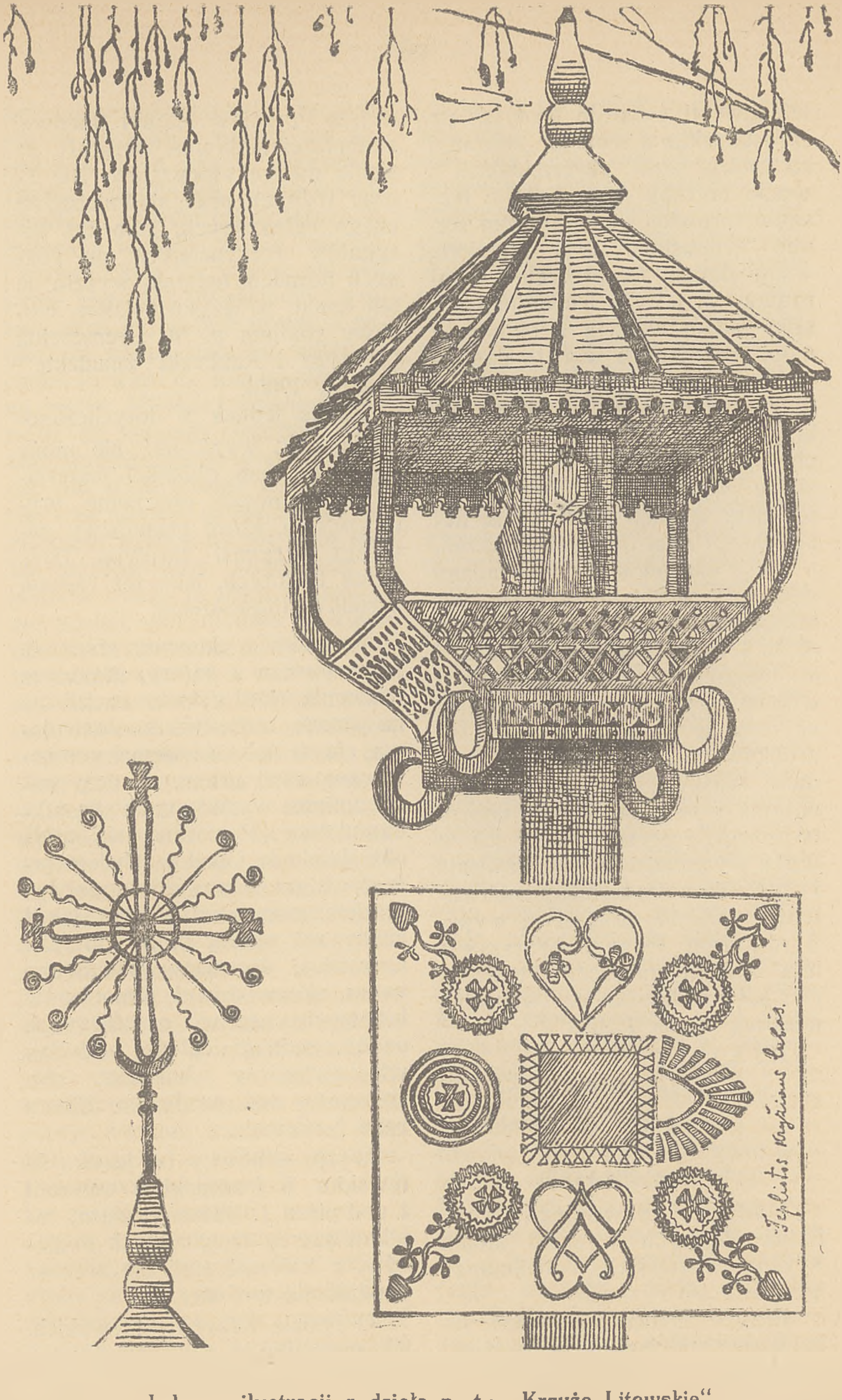
Krzyże żmudzko-litewskie, jako najwybitniejszy i najoryginalniejszy przejaw sztuki ludowej zdobniczej oddawna zwracały na siebie uwagę etnografów. Nie licząc różnych prac, dawniejszymi czasy ogłoszonych, jako też artykułów rozrzuconych po różnych pismach, ostatnio wyszło na ten temat, w języku polskim, ciekawe studjum p. M. Brensztejna („Krzyże i Kapliczki żmudzkie“, Kraków 1906).

Żadna jednak z dotychczasowych prac wyrównać nie może pod względem obfitości materjału rysunkowego obecnemu wydawnictwu, które prawdziwy zaszczyt przynosi zarówno Tow. Sztuk Pięknych, jako też całemu narodowi litewskiemu.

Rysunki wykonane przez A. Jaroszewicza z natury, przyczem rysownik kładł główny nacisk nie na stronę artystyczno-nastrojową, ale na ścisłość niemal geometryczną swej pracy, co oczywiście podnosi wartość naukową wydawnictwa. Postarano się atoli, aby dzieło to i pod względem artystycznym odpowiadało najwybredniejszym wymaganiom, jakoż znany art.-malarz p. A. Żmujdzinawiczius, kierujący wydawnictwem, skomponował z motywów ludowych szereg prześlicznych ozdób, nadając całości prawdziwie wytworny charakter, niezrównany pod względem doboru barw i odcieni.

Wstęp naukowy (w języku litewskim i francuskim) wyszedł z pod pióra J. Basanavicziusa, zawiera szereg oryginalnych poglądów, z któremi atoli nie zawsze zgodzić się możemy.

O istocie Krzyżów litewskich, ich znaczeniu w twórczości arty-



Jedna z ilustracji z dzieła p. t.: „Krzyże Litewskie“.

stycznej ludu, nie będziemy rozpisywać się na tem miejscu, gdyż zamierzamy w roku przyszłym zamieścić na ten temat obszerniejszy artykuł oryginalny, ilustrowany.

Na razie sygnalizujemy tylko ukazanie się tego wydawnictwa, które uważamy za czyn kulturalny wielkiej doniosłości i jako taki witamy z całego serca, szczerze.

Dzieło powyższe odbite w drukarni Józefa Zawadzkiego — wzorowo.

„Królowie Baśni".

Z zadowoleniem zaznaczyć wypada zbudzony ostatniemi czasy ruch wydawniczy w naszem Wilnie, które niegdyś świeciło wysoką kulturą swoją na całą Polskę.

Przedsiębiorcza księgarnia Józ. Zawadzkiego wypuściła oto w świat zbytkowne album p. t. „Królowie Baśni", zawierające kompozycje portretowe naszych królów i bohaterów mitycznych od Lecha do Piasta, podług wspaniałych kartonów art.-malarza Tadeusza Dmochowskiego z tekstem i pod redakcją Jana Obsta.

„Królowie Baśni" stanowią niejako wstęp, czyli część pierwszą całości, zakreślonej na wielką skalę przez utalentowanego artystę, całości, która objąć ma cały poczet królów naszych. Artysta, widząc w postaciach królów i bohaterów naszych niejako uosobienie naszych dziejów, dzieli je na sześć „rapsodów rysunkowych", z których pierwszy obejmuje dzieje bajeczne, drugi, pod tytułem „Królowie Czynu", przedstawi szereg władców od Mieczysława I do Władysława Łokietka. Trzeci: „Królowie Potęgi" od Kazimierza Wielkiego do Zygmunta Augusta. Czwarty: „Królowie Walki" od Stefana Batorego do Sobieskiego. Piąty: „Królowie Niedoli" — przedstawia zmierzch naszych dziejów, gdy serja ostatnia, szósta poświęcona porozbiorowym jej bohaterom i nieukoronowanym królom - duchom.

Od czasu ukazania się niezrównanych postaci królów polskich Matejki, ustalił się z gruntu fałszywy i rzec można szkodliwy przesąd, jakoby niewolno już, czy też niewarto artyście polskiemu dotykać tego tematu. Niezawodnie; konkurować z arcymistrzem Matejką, chcieć może przewyższyć go, znaczyłoby porywać się z motykiem na słońce. O czemś podobnem jednak w danym razie mowy niema i być nie może. Sam przedmiot bowiem jest tak obszerny, daje się oświetlić z tak rozmaitych punktów, pojąć w tak różny sposób, że, gdyby sam Matejko chciał, potrafiłby niewątpliwie nieskończone razy powtórzyć poczet swych Królów, a każdy zgoła odmienny byłby od poprzedniego.

Matejko dał nam w szacie niezrównanie artystycznej szereg postaci Królów, kładąc nacisk przedewszystkiem na podobieństwie portretowem i prawdzie historycznej. Stąd praca jego ma wartość podwójną: dzieła sztuki i dokumentu historycznego.

Temat jednak tak jest obszerny, że można go śmiało powtarzać niezliczone razy, nie ryzykując wpaść w czyjekolwiek ślady.

Całkiem oryginalnie pojął zadanie swe Dmochowski. Odczuwając cały tysiącletni zakres dziejów naszych, jako poemat bohaterski o tonach śpiżowych, widzi on w Królach przedstawicieli i wyrazicieli pojedyńczych epok z ich charakterem i dążnością, widzi w nich wcielenie c z y n u, gotującego się do swej wielkiej roli dziejowej Narodu, jego p o t ę g i, jego w a l k bohaterskich o najdroższy skarb swobody oraz bezbrzeżnej N i e d o l i.

Nie przeszkodzi to, aby pod względem podobieństwa portretowego oraz akcesorjów, wizerunki były ścisłe i wzorowane na autentycznych materjałach; ręczy nam za to sumienność i głęboka erudycja artysty. Atoli główny nacisk położony na czemś innem, określa to najlepiej sam autor temi słowy: „Zamiarem mojej pracy nie są naukowo-realistyczne portrety naszych królów i tylko królów. Są to raczej rapsody rysunkowe o królach i mocarzach, których tradycja poetyczna narodu naszego pamięta lub o nich marzy“.

Matejko, któremu chodziło przedewszystkiem o dokumenta historyczne, z natury rzeczy mógł rozpocząć dopiero od dziejów pewnych, to jest od Mieczysława I.

Inaczej Dmochowski, wychodząc ze swego oryginalnego punktu widzenia, rozumiejąc swych królów jako wcielenie poematu narodowego, śmiało sięgnął do czasów przedhistorycznych, gdyż ta mityczna epoka dziejów naszych, to niepodzielne panowanie fantazji artystów i poetów. Nie wdając się bynajmniej w dociekanie, czy mityczne postacie Lechów, Kraków, Popielów, czy Piastów istniały faktycznie i jak wyglądały, podkreślić tylko pragniemy niezaprzeczone prawo ludu, tworzyć swych bohaterów, jako szczery wyraz zbiorowej duszy narodu, wcielenie jego ideałów, jego dążności, charakteru i wrodzonych przymiotów. Tak też pojął swych „Królów Baśni“ Tadeusz Dmochowski.

Co się tyczy samych kompozycji rysunkowych, są one nietylko poprawne, lecz pełne rozmachu i fantazji, świadczą o niezaprzeczonym, wielkim talencie artysty.

Szata zewnętrzna wytworna, zaszczyt przynosi zarówno wydawcy, jak drukarni Zawadzkiego, gdzie dzieło to zostało odbite.

Dłuższa przedmowa na pięknym, czerpanym papierze, ozdobiona licznemi winjetami oraz inicjałami w szlachetnym stylu renesansowym. O illustracjach da pewne pojęcie załączona próba: odbite na papierze kredowym znajdują się w sprzedaży w dwóch odcieniach: ciemno-błękitnym, oraz brunatno-oliwkowym (kolor fotograficzny), naklejone na passepartout z kolorowej bibuły. Format duży albumowy.



Lech.

Próba ilustracji z „Królów Baśni".

SPIS

artykułów, zawartych w III i IV tomie „Litwy i Rusi“. Rok 1912, II-gie półrocze.
